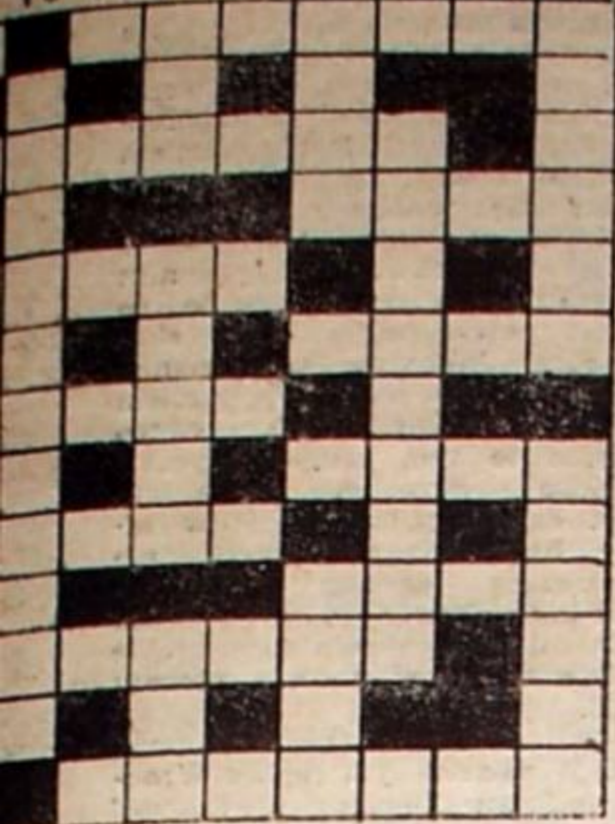


16 17 18 19 20 21 22 23



Leczenie dotykami str.9

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

• ROK ZAŁOŻENIA 1933

PL ISSN 0127-1108 Nr Indeksu 30251

kamena

NR 17 (863)

24 sierpnia 1986

Cena 15 zł



Vampirella lubi nietoperze str.9

Rozwód po ludzku

str. 5

Gehenna awangardy

str.11

**Ppłk pil. Bolesław Zoń:
Ryzyko jest częścią
mego zawodu...**

str. 3,10



Fot. Kazimiera Fijałkowski

Majdaniec i Burano po latach

str. 12

z notatnika

5 VIII. Urlop, urlop i po urlopie... Po raz drugi spędziłem go w województwie pilskim, blisko Zdbie nad malowniczo położonym jeziorem Zdbiczo. Pogoda częściowo dopływała, w dniach pochmurnych można było tu i ówdzie wyskoczyć, zobaczyć szczytki Wału Pomorskiego, zwiedzić Izbę Pamięci upamiętniającą walki, które toczyły się tutaj przed 31 laty.

Województwo pilskie należy do bardzo urokliwych zwłaszcza ze względu na jeziora. Akwenów o powierzchni ponad jednego hektara jest na jego obszarze ok. 250, w tym 23 to jeziora duże o powierzchni powyżej 100 hektarów. Lasy zajmują tu niemal 40 proc. teren, króluje sosna, z gatunków liściastych — buk. Największy dąb regionu znajduje się w Dzikowie koło Walcza, ma on 800 cm obwodu!

Czerpię te dane z „Vademecum turystycznego” pióra Antoniego Smigielskiego, które było mi bardzo pomocne. Z tego m.in. źródła dowiedziałem się, że w woj. pilskim jest 12 rezerwatów przyrody i około 400 prawem chronionych pomników przyrody.

Zaopatrzenie województwa jest niezłe. W Walczu czy Czarnkowie leżą w sklepach dywany po 13 tysięcy zł że o droższych już nie wspomnę. W sklepach GS-ów: rozpuszczone kakao i radziecki szampan. Agjent w Czarnkowie ma pieprz — prywatny import z NRD. Tam kosztuje 2,1 marki, a nas... 500 zł. Marka wschodniemiecka trzyma się mocno: 238 zł!

Gdy wyjeżdżałem z Lublina, płaciłem na targowisku za pomidory 150 zł za kilogram. W Walczu brzydsze sprzedawano po 250 zł. Ogórki były dwukrotnie droższe niż w Lublinie. Polak, lubiący handel, nie musi przekraczać granic państwowych, wystarczą granice województwa.

Z kupnem prasy są kłopoty. W wiejskim kiosku „Ruch” blisko Walcza (na trasie do Czaplina) w dniu 18 lipca nie było dosłownie nic! Żadnego dziennika, tygodnika, miesięcznika! Takiej miserii już dawno nie widziałem. A w tym samym czasie kioski lubelskie uginają się pod ciężarem gazet i czasopism...

(Dopisuję 15 sierpnia: tygodnik „Veto” ostro zaatakował RSW „P-K-R” za sły kolportaż. W Lebie po południu, a podobnie jest w Sopocie czy w Kolorze, nie można nic kupić, znikają wszystkie dzienniki i tygodniki. „Jak ma dłoń — pisze „Veto” — widać ośpiętałość, indolencję organizacyjną, brak jakiegokolwiek analiz sprzedaży, biurokratyczną ociężałość PUPK-ów”. Redakcja przygotowała do druku artykuł, w którym padają oskarżenia o sabotaż gospodarczy (miliony złotych strat) oraz polityczno — propagandowy. Druk tego artykułu „Veto” wstrzymało. Tygodnik postanowił zaprosić na dyskusję nad nim dyrektorów PUPK-ów i ich zastępców z Gdańska, Koszalina i ze Szczecina. „Proszymy — stwierdza pismo — to traktować nie jako zaproszenie, na które się laskawie przyjedzie albo i nie — tylko JAKO WEZWANIE! I de facto nie na dyskusję, ale na usprawiedliwienie się i wy tłumaczenie przyczyn tej wpadki (z kompletem dokumentów i analiz!) Domyślamy się też, że ze strony Zarządu Głównego RSW „Prasa-Książka-Ruch” wystąpił też rażący brak kontroli i nadzoru — dlatego „zapraszamy” na spotkanie w redakcji TKK „Veto” odpowiedzialnego za tę sferę WICEPREZESA ZARZĄDU”).

8 VIII. „Książka i Wiedza” wydała pracę Stanisława Głabińskiego pt. „PAP w herbie”. Papier klasy piątej 13,8 arkuszy wydawniczych, nakład 40 tysięcy egzemplarzy i cena mocno wyśrubowana: 320 złotych! Jak tak dalej pójdzie, trzeba będzie szukać żyrantów przy zakupach książek! W danym wypadku nie żałuje jednak tych 320 zł, bo lektura jest smaczkowa.

Głabiński rozpoczął pracę w PAP-ie w 1952 r., wówczas kiedy szefowała Julia Mincowa, żona Hilarego. Nazywano ją Mama.

Kiedys Mama wybrała się na przyjęcie do ambasady radzieckiej i wzięła z sobą pewnego dziennikarza (Głabiński podaje jego nazwisko, ale je przemilcza), lubiącego wypić. Dziennikarz, skonfrontowany z suto zastawionym stołem, szybko się upił. Prawdziwy dramat nastąpił jednak przy wyjściu, kiedy to ów dziennikarz szarmancko podał płaszcz Mamie i wykonał przy tym jakiś zamaszty ruch, w wyniku czego z kieszeni wyleciała mu na kamienną posadzkę butelka zwędnzonego ze stołu ormiańskiego koniaku. Wszyscy skamieniali, ale dziennikarz, nawet nie posmutniał. Z ujmującym uśmiechem zwrócił się do Mamy: — Pani ministrowa się nie martwi. Tu mam jeszcze jedną...

A oto interesujący fragment wspomnień o marszałku Konstantym Rokossowskim:

„Rokossowski w ogóle lubił dziennikarzy. Na przyjęciach lub w kuluarach sejmu jako jeden z nielicznych członków kierownictwa podchodził do nas i rozmawiał, żartował, czasami nawet opowiadał coś o sobie, zawsze jednak przeczornie zastrzegając sobie, żeby nie wykorzystał tego w druku. Marszałek lubił też czasami wypić z przedstawicielami prasy, przy czym, jeśli był po temu odpowiedni nastrój, zaczynał recytować różne polskie wierszyki, znane wszystkim najczęściej z lat dziecinnych, coś tam z Kopnickiej, coś z Or-Ota. Zawsze usiłowaliśmy dowiedzieć się, skąd ma te wiersze i jak to się stało, iż tyle ich zapamiętał, ale marszałek jedynie uśmiechał się i nie odpowiadał.

Odpowiedział tylko raz i w dość dramatycznych okolicznościach. Miało to miejsce jesienią 1956 roku. Wszystkim było wiadome, że Rokossowski niedługo opuści Polskę. W kilka dni po październikowych zmianach znalazłem się na pewnym przyjęciu wydanym w Pałacu Rady Ministrów na Krakowskim Przedmieściu. [...] Rokossowski w galowym mundurze jedynie przez chwilę stał przy stole prezydiatnym. Rychło chodził po sali od stołu do stołu, aż podszedł do dziennikarskiej grupki. Tracił się z nami kieliszkiem [...] Pewna dziennikarka radiowa, której zresztą już od wielu lat nie ma w Polsce, lekko podpiła, wymierzyła w Rokossowskiego wskazujący palec i z niezbyt przyjemnym akcentem w głosie powiedziała:

— No to co pan nam dziś zarecytuje, panie marszałku?

Staliśmy w milczeniu, czując narastające napięcie. Rokossowski jeszcze bardziej przybliżył, odstał pustą kieliszek, przyłożył do piersi zwiniętą w pięść dłoń, jak robią to w kościele

katolickim grzesznicy wyznający winy, i zaczął recytować nieco zdławionym głosem:

Kto ty jesteś?
Polak mały.
Jaki znak twój?
Orzeł biały...

Stuchaliśmy, patrząc na tego wysokiego, bladego człowieka w mundurze marszałka Polski, recytującego znany wszystkim dziecięcy wierszyk, jakiego większość z nas nauczyła się na pamięć jeszcze w latach przedszkolnych.

Poczułem, że ścisła mnie coś na gardło i zauważyłem, że kilku najbliższych stojących również ma niewyraźne miny.

Gdy marszałek skończył, koleżanka z radia, a mówić teraz ciszej, niż przed chwilą, zapytała:

— A skąd pan to zna?

— Od małej, proszę pani, jak każdy z Was — odpowiedział również cicho Rokossowski, odwrócił się, na pięcie i odszedł.

Dla mnie na zawsze. Nie sądzę, by po owym wieczorze rozmawiał z nim jeszcze jakiś polski dziennikarz”.

10 VIII. Słupski tygodnik „Zobliźnia” (pismo PZPR) wydrukował (nr z 7 bm.) krytyczny tekst Andrzeja Radzika pt. „Władza, pieniądze, opinia...”

W Słupsku gmach budowany dla Urzędu Wojewódzkiego przekazane na potrzeby służby zdrowia. Zamiasz w rządzie będzie szpital. Będzie, ale kiedy? Szpital buduje polonijna firma „Interbau-Nord”. Autor artykułu stwierdza, że oprócz sprowadzonej z Austrii pary kombinerek, gwintowalicy i tym podobnego drobiazgu jest — zwyczajna plecakarka. Pracowników, włącznie z kadrą kierowniczą, firma ta podkupiła z miejscowych przedsiębiorstw, sprzęt wynajmuje od nich również, przechwytuje też sporą część puli materiałów przeznaczonych dla nich. „Kto chce znać cenę usług polonijno-budowlanych niech przyjrzy się kosztom wzniesienia — przez inną spółkę — domu rotacyjnego w Słupsku, obiektu o niewysokim przeciętnie standardzie, służącego jedynie przeciwdziałaniu z budynków poddawanych remontom. Koszt metra kwadratowego tego obiektu [...] wygląda na co najmniej dwukrotnie wyższy od średniej wojewódzkiej”. Firma „Interbau-Nord” przejęła w 1982 r. remont i adaptację szpitala w Uscku. „Jak dotąd — stwierdza A. Radzik — zdążyła jedynie rozobrać budynek, lokując w nim przy okazji swoje biuro i zaplecze warsztatowe — nie ponosząc przy tym żadnych opłat z tytułu dzierżawy”.

W Słupsku również firma polonijna (z tekstu nie mogę się zorientować, czy ta sama) budować będzie dworzec kolejowy.

„Proszę — pisze A. Radzik — zwrócić uwagę na fascynujące zjawisko: wszystkie tuzisze i oczekiwane społecznie inwestycje w Słupskiemu przechwytyły spółki polonijne.”

Eldorado dla cwaniaków, pójdzie po najłżejszej linii oporu, bezradność państwowych firm budowlanych? Autor nie stawia kropki nad „i”, ale mocno krytykuje miejscowe władze: „Niespokojne lata osiemdziesiąte wciąż uczą — pisze — że wszelkie poparcie dla poczynań władzy jest poparciem ograniczonym i krytycznym, a mimo to nasuwa się wrażenie, że wciąż jeszcze tkwią w strukturach władzy osoby oczekujące chwili, kiedy nikt już nie będzie ich pytał: czy to, co robicie jest potrzebne, ważne, skuteczne, dobre. Jakby w przekonaniu, że skoro jednorazowym poparciem społeczeństwo udzieliło im swego przyzwolenia to tym samym wyczerpuje to jego swobodość. Społeczeństwo zbyt daleko posunęło się w samowładzy, by podobnych pytań nie stawiać; areszta są one — potrzebne władzy w imię obrony jej samej przed ewentualnymi wypaczeniami, jakie potencjalnie tkwią w naturze procesu rządzenia”.

15 VIII. W ukazującym się we Wrocławiu tygodniku „Sprawy i Ludzie” (z 14 bm.) Krzysztof Dębek (wprawdzie w felietonie) przedstawia nieco inny punkt widzenia na prywatny handel zagraniczny naszych rodaków. „Owszem — stwierdza — do tej chwili odwiedzającej w czasie zagranicznych wояжy wyłącznie kawiarnie i domy handlowe, uczących się w podróży jedynie kursów walut oraz co się gdzie sprzedaje i co gdzie kupuje, mam stosunek zdecydowanie negatywny. Boję się jednak, że jest to stosunek Łękiej do Wokulskiego — idiotyczny po prostu. Bo niby z jakich powodów potępiać handlowców z turystycznymi paszportami — że się nieładnie zachowują i brzydko pachną? Gdybyśmy zapachami wyłącznie i dobrymi manierami żyli, miałoby to potępienie sensu. A jest inaczej, więc sensu nie ma.

Znajoma mówiła mi niedawno, że niecierpliwie czeka na pojawienie się w komisach dziecięcej pasty do zębów z Bulgarii. To jest pierwszy z brzegu przykład. Tony papieru używamy na propagowanie mycia zębów przez dzieci, ale pastę nasz przemysł robi taką, że maluchy dalej nią plują niż widzą. Zresztą tej pasty także w państwowych sklepach nie uświadczysz. (...) Przywożą ją ci, którzy w Bulgarii żywią się wodą mineralną, arbusami i suchym chlebem i którym — w odróżnieniu od państwowego handlu zagranicznego — sprowadzać się tę pastę oplaca. (...) Można więc do tego turystycznego handlu mieć stosunek negatywny, ale pod warunkiem, że się widzi poza tym stosunkiem również rzeczywistość, a w rzeczywistości niezbędność turystycznego importu. Mało tego, pamiętać trzeba, że odwiedzanie zagranicznych sklepów jest uznaną atrakcyjną formą spędzenia czasu przez turystów wszystkich narodowości i z myślą o nich organizuje się handlowe centra już na lotniskach, robi się cuda, żeby skusić przybyszów nie tylko do kupowania pamiętek. (...) Jestem pewny, że tak samo handlowalby Belg, Szwajcar, Amerykanin czy Australijczyk, gdyby sprzedając za granicą żelazko i kupując karton majtek zwrócił sobie koszty zagranicznej wycieczki. Bo Polak jest tak samo, jak każdy inny, homo sapiens i homo economicus. Sęk w tym, że gdyby zamiana tego przykładowego żelazka na majtki pomnażała kilkakrotnie zainwestowaną sumę, to zanim wpadłby na to indywidualny Belg, Szwajcar, Amerykanin czy Australijczyk — dokonałaby tego profesjonalna firma eksportowo-importowa. Natomiast cudowna właściwością naszego handlu zagranicznego jest oddawanie inicjatywy w ręce indywidualnych drobnych handlowców. (...) I tak będzie dopóki za handel zagraniczny uważać będziemy węgiel, siarkę, miedź, obrabiarkę i semikontenerowce, resztę zostawiając opiece boskiej, i przemysłowi Dopóki w Ministerstwie Handlu Zagranicznym będzie tak, że wszyscy — od ministra do portiera — wiedzą, co się od takiej Turcji wywozi, a co przywozi z Turcji i nie, dokładnie nie, z tej wiedzy nie wynika”.

Felieton felietonem, ale coś w tym jest!

17 VIII. Trzecia kolejka spotkań ligowych i trzecia porażka piłkarskiej drużyny Motoru, tym razem z drużyną Pogoni Szczecin. Jedyna pociecha, że Motor nie przegrał jeszcze różnicą trzech bramek i nie otrzymał ekstra „premi” w postaci punktu minusowego, ale co się odwiecze, to nie uciecze... Czarno widzę!

KRONIKA KULTURALNA

• Jedną z atrakcji Pałacu jest obecnie wystawa zatytułowana „Śpiewy historyczne Juliana Ursyna Niemcewicza”, urządzona w świątyni Sybilla — pierwszym polskim muzeum założonym przez ks. Izabellę Czartoryską. Ekspozycja pochodzi ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie. Wystawa prezentuje rozmaite wydania napisanej w 1816 roku przez Niemcewicza wierszowanej historii Polski („Śpiewy historyczne”) a także inne dzieła pisarza, w tym „Powrót po sta”. Wystawiono również liczne pamiątki po autorze. Ponadto ekspozycji towarzyszy pokaz malarstwa i rycin przedstawiających słynnych polskich wodzów królów oraz zbiór dawnej broni polskiej.

• Maria Kanowiczowa przekazała swoje archiwum literackie, znajdujące się dotąd w domu pisarki w Kazimierzu nad Wisłą, Bibliotece im. Ossolińskich we Wrocławiu. Obejmuje ono 8 tys. listów, artykuły oraz autografy dzieł, m.in. różne wersje „Tristana 86”, „Fantomu”, „Lelanka”, „Przełotcy”. W zbiorach znajdują się także teki ze szkicami i materiałami do wykładów uniwersyteckich, poświęconych literaturze, jakie pisarka odbywała w kraju i za granicą.

• Po trzytygodniowym pobycie w Wielkiej Brytanii powrócił do Lublina Zespół Pieśni i Tańca Akademii Medycznej w Lublinie. Zespół dał pełną serię występów w dziesięciu najbliższych miastach hrabstwa Essex, które już po

raz jedenasty było organizatorem Międzynarodowych Spotkań Artystycznych. W siedmioletniej historii zespołu było to czwarta podróż zagraniczną.

• Muzeum Historii Miasta Lublina przygotowało wystawę „Brama Krakowska w malarstwie i grafice”, prezentowaną właśnie w Bramie Krakowskiej. Ekspozycja gromadzi miedzioryty, litografie z drugiej połowy XIX wieku oraz dwudziestowieczne obrazy i fotografie poświęcone temu zabytkowi. Oglądać można m.in. dzieła Leona Wyczółkowskiego, Zenona Kononowicza.

• Jeneze o sukcesach lubelskich chórow. W lipcu odbywał się w Międzyzdrojach 21 Międzynarodowy Festiwal Pieśni Chóralnej. W imprezie wniósł udział bardzo młody, bo istniejący ledwie od stycznia 1980 roku, Lubelski Chór Kameralny pod dyrekcją Ewy Ordęk. Zespół otrzymał nagrodę miasta Międzyzdrojów. Natomiast Chór Akademii Bolnickiej w Lublinie pod dyrekcją Wojciecha Maciejewskiego uczestniczył w Międzynarodowym Festiwalu Chórow w węgierskim Szegedzie, zorganizowanym z okazji 175 rocznicy urodzin i 100 rocznicy śmierci Franciszka Liszta. Lubelscy śpiewacy zyskali miano najlepszego chóru zagranicznego spośród biorących udział w imprezie.

• W Domu Kultury w Kazimierzu czarna jest wystawa Mieczysława Kulkowskiego, członka Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Lublinie. Właśnie na sprawę tego Towarzystwa oraz WDK w Lublinie, urządzono owa ekspozycję, która, co najważniejsze będzie mieć charakter „objazdowy”, po Kazimierzu zostanie pokazana w Naleczowie, Deblinie, Opolu, Lubartowie. Bardzo to cenna wydsie się być inicjatywa docierania ze sztuką do niewielkich miejscowości.

Z okazji Święta Ludowego Lotnictwa Polskiego redakcja „Kamena” nawiązała kontakt z redakcją tygodnika Wojsk Lotniczych i Wojsk Obrony Powietrznej Kraju — „Wirazami”.

W poprzednim numerze opublikowaliśmy tekst Jerzego Koldrasa na temat początków Ludowego Lotnictwa, natomiast obecnie drukujemy artykuł mjr. Tomasza Viewegera pt. „Dziesiąty stopień wtajemniczenia”. Ponadto Jerzy Koldras, zastępca red. naczelnego „Wiraz”, informuje o samym tygodniku.

Ze swej strony „Kamena” składa wszystkim lotnikom polskim tradycyjne życzenia: tyle samo startów, co i lądowań!

PILOT raz jeszcze zerknął na przyrządy, skontrolował pozostawienie paliwa, wysokość i odległość dzielącą go od lotniska. Decyzję lądowania na niesprawnym samolocie podjął wcześniej. Był spokojny, zadziwiająco spokojny. A przecież sytuacja zasadniczo różniła się od normalnych warunków lotu.

Normalne warunki. Cóż naprawdę znaczy to określenie w środowisku pilotów doświadczalnych? Każdy lot bywa tutaj inny, każdy — bez wyjątku — związany jest z większym lub mniejszym stopniem ryzyka i zagrożenia. Z ryzykiem potrafią żyć „za pan brat”. Ich atutem stają się: nieprzeciętne umiejętności pilotażowe, doskonała znajomość sprzętu i techniki lotniczej, wyrachowanie, rozsądek i zimna kalkulacja... Są to karty, z którymi nie zwykli przegrywać.

A przecież wątpliwości i pytania nasuują się same. Gdzie leży granica pomiędzy ryzykiem a brawurą i ryzykancstwem? Jak reaguje człowiek zmuszony przez los do poniesienia świadomego ryzyka? Czy lęk jest w tym zawodzie dopuszczalny i jaki może mieć on wpływ na psychikę pilota?

Odpowiedzi nie uzyska się wprost. Określają je swoiste zasady służby, rozbudowane przypadki i sytuacje, nie mające zazwyczaj odpowiednika w normalnej służbie lotniczej.

Scenariusz prób — jak zwykle — zajęty na ostatni guzik. Oblot „szybkiego” po remoncie głównym przewidywał sprawdzenie wszystkich parametrów silnika, stateczności i sterowności samolotu oraz sprawności działania przyrządów pilotażowo-nawigacyjnych.

Próba wciąż jeszcze przebiega spokojnie, bez emocji i zakłóceń. Mija kolejna minuta lotu. Nadchodzi czas praktycznego przetestowania w powietrzu sztucznego horyzontu. Pilot, w ramach „średniego pilotażu”, w strefie na dużej wysokości wprowadza maszynę w ciasną pętlę. Manetka „gazu” wędruje poza ogranicznik obrotów. Nagły wzrost mocy i wyczuwalne przyspieszenie potwierdza wejście do pracy dopalacza. Lot pleców — kolejna faza ewolucji. Właśnie teraz z samolotem zaczyna się dziać coś niedobrego. Pulsacyjna praca silnika nakazuje natychmiastowe przerwanie ćwiczenia. Reakcje pilota są zadziwiająco spokojne. Wprowadza maszynę do normalnego lotu poziomego, śledząc jednocześnie zaciśnięcie się przyrządów i analizując zaistniałą sytuację. Obróty wciąż są za wysokie. Manetka gazu natychmiast wędruje do tyłu, lecz nie towarzyszy temu — tak jak zwykle — wyłączenie dopalacza.

Spadek temperatury gazów wylotowych, spadek mocy i ciągu, detonacyjne spalanie paliwa, a także niemożliwość wyłączenia dopalacza sugerują założenie się na siebie kilku naraz defektów technicznych. W praktyce zdarza się to niesłychanie rzadko. Przykładowość „wstrzelenia się” w taką sytuację przyrównać można do głównej wygranej w „Toto-lotka”.

Pilot błyskawicznie analizuje sytuację. Już sam lot z rozwartą na stałe dyszą wprowadza dodatkowe utrudnienia. Zwiększonym obrotem silnika nie towarzyszy pożądany wzrost ciągu. Samolot jest nadal jednak sterowny. Duży zapas prędkości i wysokości, dobre warunki atmosferyczne oraz wnikliwa, zimna kalkulacja pozwalają na wypra-

nie widać napięcia i zdenerwowania. badawczych jest szeroki, wymaga ogromnej wiedzy, doświadczenia i obycia technicznego. W wielu przypadkach piloci ci zdani są wyłącznie na własne sily i umiejętności. Istniejące obecnie i obowiązujące w praktyce instrukcje wariantów tych po prostu nie przewidują.

Do witających go na ziemi lotników puszcza „perskie oko”, po chwili zaś — już na serio — rzuca charakterystyczną uwagę:

— Ciekawe, warła nad tym jeszcze popracować...

Kto z postronnych obserwatorów mógł przewidzieć wówczas, że już za kilka tygodni podobne sytuacje w locie zostaną przez niego dokładnie skopionowane. Raz jeszcze człowiek wyszedł naprzeciw niebezpieczeństwu...

Pod kierownictwem dowódcy ppik. pil. Bolesława Zonia lotnicy z grupy doświadczalnej przystąpili do starannie zaplanowanych i celowych prób oblotów Miga-21 z rozwartą dyszą.

DZIESIĄTY STOPIEŃ WTajemniczenia

Tomasz Vieweger

Wszystko, co lata, każdy statek powietrzny: samolot, śmigłowiec czy szybowiec należy traktować poważnie i z szacunkiem, a zarazem z profesjonalną ostrożnością — z zachowaniem zimnej, wyważonej kalkulacji i rozważ.

cowanie natychmiastowej decyzji. Będzie „siadał”, realizując manewr podobny do tego, jaki stosuje się przy lądowaniu z wyłączonym silnikiem. Ciągła kontrola warunków lotu, wysokości i pozostałości paliwa zmniejsza ryzyko do minimum. Opuszczenie samolotu — to ostateczność. Na to pilot doświadczalny decyduje się niesłychanie rzadko, wyłącznie w beznadziejnych sytuacjach.

Teraz cała jego uwaga skupia się na utrzymaniu niezbędnych do bezpiecznego lądowania parametrów lotu. Wie, że zdany jest niemal wyłącznie na siebie. To jeszcze jedna specyfika zawodu oblatywacza. Obowiązujące w lotnictwie instrukcje i przepisy w tym jednym przypadku pozostawiają pilotowi spory margines samodzielności. Przeciwwagą ryzyka jest mistrzowska, niemal doskonała znajomość sprzętu i techniki pilotażu, doświadczenie i umiejętności przewidywania.

Kierownik lotów — kolega z eskadry doświadczalnej — też jest spokojny. Zna i akceptuje decyzję „z powietrza”. Bez wyczuwalnych w głosie emocji informuje kolegę o warunkach i możliwościach lądowania. Resztki paliwa w samolocie narzucają pośpiech, bezwzględne pierwszeństwo i najkorzystniejsze warunki lądowania. Jest zgoda i decyzja. Sprawne przyziemienie, pierwsze zetknięcie kół z betonem, dobieg l... lot uznać można za zakończony. Powoli otwiera się osłona wiatrochronu. Pilot „prosto z marszu” przekazuje inżynierom swoje uwagi i spostrzeżenia. Na twarzy podpułkownika

Sama służba pozwala im wybić się ponad przeciętność. Przechodząc poprzez poszczególne szczeble edukacji lotniczej od pilota myśliwskiego, oblatywacza do pilota doświadczalnego, osiągnęli najwyższy stopień wtajemniczenia zawodowego, odcierając się niemal o próg doskonałości. Trafić mogą tu tylko najlepsi. Kryteria doboru i selekcji są bowiem niezwykle wysokie. Modelowy kandydat legitymować się musi co najmniej dziesięcioletnim stażem w jednostce, umiejętnością latania na minimum czterech typach statków powietrznych, w tym ponad 1000-godzinnym nalotem na samolotach odrzutowych. System nerwowy pilota doświadczalnego musi być szczególnie uodporniony na stresy i napięcia, na pracę, która w samej już nazwie niesie element ryzyka i niepewności.

Gdy pierwszy raz, przed dwoma laty, poznawałem to środowisko, najtrafniejszą chyba jego charakterystykę sprzedali mi „na piu” główni zleceniodawcy — naukowcy z Instytutu Technicznego Wojsk Lotniczych i Wojskowego Instytutu Medycyny Lotniczej:

— Są cechy, których zawót ten wymaga bezwzględnie. Nie fizyczne nawet, bo te są oczywiste, a psychiczno-osobowościowe, jak prostoliniowość, uczciwość, odwaga i rzetelność, zarówno na ziemi, jak i w powietrzu. W dobie niezwykle dynamicznie rozwijającej się techniki zaistniała uzasadniona konieczność utworzenia grupy badającej efektywność zmian technicznych sprzętu lotniczego. Wachlarz prac

Zbliżone opinie usłyszeć można z ust specjalistów z centralnych komórek Bezpieczeństwa Latania:

— Są to perfekcyjniści. Żaden inny termin nie oddaje trafniej ich umiejętności. Samo mistrzostwo w technice pilotowania nie rekomenduje jeszcze do tak specyficznego zawodu. Niemal równie ważna jest indywidualna motywacja, wszechstronność zainteresowań, rozsądek, wyrachowanie, doskonała znajomość techniki i indywidualna odpowiedzialność za własne przygotowanie do każdego lotu. Tych ludzi charakteryzuje perfekcja działania, uwarunkowana wieloletnim doświadczeniem. Z uwagi na specyfikę i charakter lotów doświadczalnych piloci ci mają pełne prawo do opuszczenia samolotu w trudnych, nietypowych sytuacjach. Sprzęt ma prawo się zepsuć. Nikt nie może zapewnić 100-procentowej niezawodności setek tysięcy części i agregatów, zamontowanych i współdziałających ze sobą na współczesnych statkach powietrznych. Oblatwacz, a w szczególności piloci doświadczalni, kierują się swoim poczuciem odpowiedzialności. W podświadomości chyba każdy z nich traktuje samolot jako swoje narzędzie pracy. Dobry zaś fachowiec porzuca narzędzie pracy tylko w przypadku uzasadnionej, bezwzględnej konieczności.

Nowości sprzętu i uzbrojenia lotniczego, wynalazki, patenty — wszystko to wymaga szeregu odpowiednich i skomplikowanych prób w powietrzu. Ten „chleb powszedni” — test prawdy i stopień wtajemniczenia zawodowego — określony jest w tym środowisku współczynnikiem trudności lotu.

Współczynnik trudności lotu — ustalony zwykle przez kierownika próby — określa w praktyce stopień ponoszonego ryzyka. Wszelkie porównania zatacają tu jakikolwiek sens. Najtrudniejsze nawet loty — przeprowadzone w jednostkach lotniczych — tutaj z trudem zakwalifikowano by do współczynnika 1. Współczynnik 10 — to dziesięciokrotne ryzyko — dziesiąty stopień wtajemniczenia. Takiego współczynnika nie przewiduje się nawet przy oblotach prototypów.

Szczególne przypadki w locie — abecadło lotniczego fachu lub, mówiąc wprost, szczególne zagrożenie w bezpieczeństwie lotów — właśnie tu poddawane są gruntownej, praktycznej analizie. Punktacja za te próby nie jest za wysoka.

Wielokrotne wyłączanie i uruchamianie silnika w powietrzu niezaczynnie przekracza tylko średnią ocenę w umownej skali trudności. Jeszcze niżej, bo tylko współczynnikiem 4, sygnował jest korkociąg plecowy na samolocie TS-11 „Iskra” — element nie realizowany nigdy w procesie szkolenia normalnego latania.

Palma pierwszeństwa w tym jakże specyficznym „spacerze po krawędzi” przypada w udziale nowościom uzbrojenia oraz korkociągom na Migu-21. Najwięcej „dziesiątek” zebrał na swoim koncie dowódca ppik. pil. Bolesław Zon. W ślad za nim poszli jego koledzy.

Tych ludzi oceniać trzeba indywidualną miarą. Kiedyś, gdy kręcono szkoleniowy film lotniczy o „przeciągnięciu” samolotu, Zon faktycznie samolot „przeciągał”. Tego — w kraju — nikt przedtem świadomie nie robił. Perfekcyjne wprost opanowanie maszyny sprawiło, że praktyka wyprzedziła teorię. Niemożliwe stało się możliwe, sam zaś film zaowocował nie-

Dokończenie na str. 10

Wiraz

TYGODNIK Wojsk Lotniczych i Wojsk Obrony Powietrznej Kraju „WIRAZE” już ponad 35 lat towarzyszy żołnierzom noszącym lotnicze mundury w ich trudnej i odpowiedzialnej, ale zaszczytnej służbie obrony powietrznych granic naszej socjalistycznej Ojczyzny. Rozpocznaliśmy w styczniu 1951 roku, jako ga-

zeta codzienna pod nazwą „Skrzydła Wolności”. W kilka lat później, ze względu na potrzebę szerszego, problemowego i bardziej publicystycznego potraktowania istotnych dla lotniczej społeczności żołnierskiej tematów, gazeta przekształcona została w tygodnik, który otrzymał nowy tytuł: „WIRAZE” i w tej formie funkcjonuje do dzisiaj.

W 35-letniej historii zespół redakcyjny zanotował na swoim koncie wiele osiągnięć publicystycznych, a także szeroko rozwijał i nadal rozwija działalność organizatorską w środowiskach lotniczych. Od maja tego roku zmieniliśmy technikę druku na offset, dostosowując do jej możliwości nowy format i szatę graficzną.

Ambicją zespołu redakcyjnego jest dalsze doskonalenie zawartości merytorycznej tygodnika oraz szersze przybliżenie problematyki lotniczej i patriotyczno-obronnej społeczeństwu, a szczególnie młodzieży. Dlatego z okazji 42 rocznicy Ludowego Lotnictwa Polskiego w dniu 23 sierpnia br. przekazywany zostanie tygodnik do kiosków „Ruchu” na terenie całego kraju.

Jerzy Koldras

Kamena

3

W WIEJSKICH olejarniach jeszcze cicho. Pora bicia oleju przychodzi dopiero z Adwentem i Wielkim Postem. Zalegają więc na prasach, młynkach i nieckach wieloletnie zapachy rzepakowej, lnianej i konopnej omasty na przemian z tegorocznym kurzem i popiołem z wygasłej „kotliny”. Korba lekko obraca nad nią blaszany wałek do prażenia śruty. Pusty. Pod tlokiem zakrzępy zielone kropki — symptomy to bardziej przemijania niż obfitości uzysku. Bo i poszczających z każdym rokiem mniej, i nie wszystkim w smak racuchy z prostym olejem. Przemysłowa produkcja roślinnych tłuszczów o znacznie lepszych walorach smakowych i konsumpcyjnych doszczętnie prawie wyparła tradycyjne sposoby ich tłoczenia. Do obsługi przez wiejskie olejarnie pozostały więc doroczne posty i gospodarskie potrzeby. Ot kwatereka lnianego oleju do leczenia oparzeń, tyleż samo gorczycowego na ból w kościach i „przewianie”, trochę więcej dla zwierzęcy, kiedy i ona zachorzeje.

Według informacji uzyskanej w dziale ekonomicznym Izby Rzemieślniczej w Lublinie — stan posiadania czynnych olejarni rzemieślniczych jest mikroskopijny. W województwie białoskopodlaskim olej biją już tylko cztery olejarnie, w chełmskim — jedna, lubelskim — sześć, zamojskim — trzy. A więc wszystkiego — 14.

Dla porównania: w dawnym województwie lubelskim w 1937 roku było tych olejarni — wiejskich, dworskich i przemysłowych — 355. Czas i postęp techniczny postawił na nich nieodwołalną pieczęć — „relikt przemysłu wiejskiego”. Skoro tak, to pójdźmy śladem badań i penetracji terenu przez etnografów.

W swojej ciekawej publikacji na ten temat dr Jan Górak* wylicza, iż w czterech „lubelskich” województwach oraz województwie tarnobrzeskim i siedleckim w 1976 roku istniało jeszcze 126 owych, archaicznych w swym urządzeniu i sposobie tłoczenia, olejarni. Przed 1975 rokiem zostało rozebranych — 41.

Minął dobry dziesięć lat. Postarzel się właściciele olejarni. Potracili zdrowie i siły. Niektórzy pomarli. Tylko czterem z nich podjęło się tego tradycyjnego rzemiosła. Następców młodych brak. Nic dziwnego, żadna perspektywa nie rysuje się przed gospodarskimi olejarniami. Tylko kilka z nich przyjąć mogły muzea. Inne stać będą nieczynne. Jak długo? Może kiedyś zniecierpliwione wnuki zaczną rąbać zabalsamowane olejami dębowe kłody, by zrobić miejsce w szopie na garaż? Żelazne śruby cisną gdzieś na pobocze lasu? Na złom i tak nikt nie przyjmie od nich tego żelastwa.

Mają więc gospodarze problem, co zrobić dalej z bezużytecznymi olejarniami? Żal rozebrać i wyrzucić; raczej oddać w dobre ręce lub sprzedać. Iż znalazłoby się jeszcze olejarskich pras, solidnych, przedwojennych, zdawałoby się, że wykonanych na wieki, a już nikomu niepotrzebnych. Kto więc je kupi?

Wśród tych relikwów przemysłu wiejskiego występują różne typy pras do wyciskania oleju. Zresztą od czasów, kiedy do jądłospisu ludzkości wszedł olej roślinny, stale przemyślano nad tym, jak ulepszyć, jak zwiększyć siłę nacisku urządzeń służących do tłoczenia tych tłuszczów. Ten samorzutny najczęściej postęp w technice ludowej dowodził, iż wiejski rzemieślnik po swojemu racjonalizował niezbędne w jego gospodarstwie urządzenia, podpatrując niekiedy wzory i idee ulepszeń w miejskim i dworskim przemyśle. Czyż dawne młyny, wiatraki i skromne olejarnie, by poprzestać tylko na tych obiektach wiejskich budownictwa przemysłowego, nie były więc na miarę wynalazku i rzemieślniczego kunsztu? Wyciosane i skonstruowane ręką nieuczonego przecież, a najczęściej i niepiśmiennego gospodarza. „Wszak o postępie narodu w dziedzinie techniki — jak słusznie wyraził myśl jeden z wybitnych polskich etnografów, Tadeusz Seweryn — nie decydują tylko wielkie wynalazki, szybciej obracające koło historii, ale zbiorowy pęd do przekształcania starych, niedoskonałych form życia na nowe i lepsze”.

Oto najstarszy z zachowanych typów prasy klinowej posiadała olejarnia w Hucie Nowej, w dawnym powiecie biłgorajskim. Wykonała była na wzór wcześniej tam istniejącego urządzenia z połowy XIX wieku. W odróżnieniu od innych olejarni, pomieszczonej w

gospodarskich szopach, ta stała sobie osobno, jak spichlerzyk. Była to prasa z klinem wbijanym z jednej strony drewnianym młotem ręcznym, tak zwana szląga, z drugiej zaś strony — taranem poziomym, który zmniejszał wysiłek obsługującego to urządzenie. Olejarnia w Hucie Nowej już nie istnieje, została rozebrana.

na Paszy w słynnej bitwie pod miastem Piewnen. Obejrzeć te armatki można w tamtejszym muzeum. A boguciańską olejarnię — w lubelskim skansenie. Drewnianą śrubę do pras tłoczących olej i wino wprowadzili w I wieku przed naszą erą przemysłowi Grecy...

— No, jakże to postnik obchodzić bez tradycyjnej omasty? — pani Genowefa

dobrą drogę, mąż Sikorowej, pan Kazimierz. Pracował przy niej za młodu ochotnie, więc mu ją ojczym podarował. Bardzo się do niej przywiązała małżonkowie, choć olejarnia sezonowo dawała tylko przysłowiowy kęs chleba. Z pewną więc tklivnością opowiada pani Genowefa o tym, jak przygotowane ziarno rzepaku, przesusza je, przesiewa, czyści, rozdrabnia, praży. O, właśnie — prażenie jest najważniejsze. Zależy od niego smak i barwa oleju. Zawija potem w lniane płachty tę uprażoną masę i wkłada w otwór w ściepie. Jednorazowa „zaloga” waży do siedmiu kilogramów. Wytłoczyć z niej można prawie dwa litry oleju. W zależności jednak od jakości ziarna.

Całą wojnę — choć było to niebezpieczne, bo przez okupanta zabronione — Sikorowie z Dzierzkowic bili olej. Pomogli przetrwać wielu wysiedleńcom, którzy tu przybyli. Długo po wojnie pamiętano więc Sikorom tę ich ofiarność i ryzyko. „To wycie byli partyzanty. Przyjedźcie do nas na wesele, ugoszczymy was!” — przypomina okrucy ludzkiej wdzięczności pani Genowefa. I tylko tyle zostało z lat jej ciężkiej pracy na gospodarce i przy olejarni. Renty pani Genowefa nie otrzymała. Doliczono się o trzy morgi gruntu za dużo... A sił coraz to mniej, by podciąć samemu.

Pan Stefan Szumny z Popkowie swoją 70-letnią już olejarnię otrzymał był od dziadka z pobliskiej Leszczyny. „Szykowna to olejarnia” — nie inaczej wyraża się o niej. I od razu wiadomo, że przedmioty, choć martwe, mają swoje miejsce w sercu dobrego gospodarza. Truizm? Spytajcie Szumnego, bo mu żal, że olejarnia stoi bezużytecznie. Odsłużyła swoje 20 lat dla cechu, a teraz ręk i zdrowia brakuje, by ją obsłużyć. Młodzi nie chcą. Chętnie by ją pan Stefan oddał do muzeum albo sprzedał. Ale wcześniej — zanim by to nastąpić miało — musi sobie jeszcze zrobić przy niej rodzinną fotografię. Wyobrażam sobie ten konterfekt: olejarnia odpucona, śruba aż błyszczą, Szumni tuż, obok. I jeszcze choć raz — marzy przez chwilę pan Stefan — chciałoby się posmakować usmażone makuchy, słodkie makuchy. „Z maku, oczywiście” — śmieje się na ich wspomnienie pan Stefan. W tym momencie nie próbują nawet pytać pana Szumnego na temat... Monaru.

Pan Feliks Zawada przybył do Markuszowa w samą wojnę. Zabrał z Janowca, bo stamtąd jest rodem, ojcową olejarnię, taką samą, drewnianą, na śrubę, jak w Bogucinie. W lesie, w konspiracji, bił ten olej i wysyłał do Warszawy, Radomia, Puław. Po wojnie udało się panu Feliksowi kupić we Wrześni żelazną prasę hydrauliczną. Było już bez porównania lżej. Podobne prasy — jak zauważył — produkowała też stocznia wiślana w Puławach. W drugiej połowie lat 40-tych bił starannie olej na państwową aprowizację. W latach 60-tych upaństwowiono mu olejarnię, na krótko, na jakieś dwa-trzy lata; pracodawcy w zakładach przemysłu terenowego w Kluczkowicach nie opłacało się dowozić rzepaku do Markuszowa. Oddano więc bez ruszania z miejsca olejarnię pod prywatną własność pana Zawady. Jako rzemieślnik doglądał jeszcze do lat 70-tych, by rzepak był nie przestany, dobrze wysuszony, wyprażony, chodziło przecież o dobry olej i rodzinną tradycję tłoczenia. Nikt nie powie, że olej Józefa Zawady w Janowcu nad Wisłą był zły, nie mógł być gorszy syn od ojca, więc i na markuszowski olej pana Feliksa nikt chyba nie miał powodu narzekać.

No, i zebrało się tych „krzyżków” na karku. Nie dorobił się pan Feliks renty na tej swojej olejarni. Przyszła reorganizacja cechów, ani się doszukać pism p. Feliksa w sprawie renty. A tu przecież i wiek, i zdrowie, i lata — jakkolwiek by było — pracowitego przy olejarni starania. Jak tu więc odkręcić tę „śrubę” przepisów? Jest to problem nie tylko pana Zawady, ale wielu starszych już rzemieślników, którzy w porę nie uchwycili toku załatwienia swoich spraw rentowych. Przydałaby się tu szczególna pomoc ze strony organizacji cechowych. Także i w zbyciu nieczynnych, ale dobrych jeszcze olejarni. Może coś w rodzaju giełdy? Lecz komu przydałyby się owe relikty? I znów „śruba” niemożliwości dociska się sama.

Przemija pokolenie ludzi biegłych w pewnych tradycyjnych rzemiosłach. Trochę dłużej istnieć będą narzędzia ich pracy. I one kiedyś przemijają, już dziś po sobie same toczą tłuste łzy. Koton Starszy w 184 roku p.n.e. pozostawił opis pierwszej olejarskiej prasy. Dzisiaj opisujemy ostatnie już wiejskie olejarnie z końca XX wieku.

* Jan Górak: Prasy do wyciskania oleju. Rozwój i typy. „Z Zagadnień Kultury Ludowej”, t. II-III, Lublin 1981.

Tłuste łzy

Marta Denys



Jedną z najstarszych pras śrubowych zobaczyć można w Muzeum Wsi Lubelskiej. Fot. Robert Lipski

Jedną z najstarszych pras śrubowych zobaczyć można w Muzeum Wsi Lubelskiej. Jest to olejarnia przeniesiona z Bogucina koło Garbowa. Składa się z dwóch potężnych kłód — dolnej, sosnowej, tak zwanej śtepy, i górnej — dębowej, tak zwanej strzaly, podnoszonej i dociskanej śrubą wykonaną z drewna czereśniowego.

W tym miejscu mała dygresja: dawno już temu doceniono zalety drewna czereśniowego. Bułgarzy, na przykład, używali go nawet do konstruowania prostych, ale dobrych armatek, które skutecznie raziły tureckie hordy

Sikora z Dzierzkowic nie wyobraża sobie inaczej. Nie tylko dlatego, że jest jednym z owych czterem zarejestrowanych w cechu rzemieślników, którzy jeszcze trzymają olejarnie. Taka jest tradycja okolic, z których się wywodzi, choć okolice już dawno odeszły od uprawy roślin oleistych.

Dzierzkowicka olejarnia najbardziej z oglądanych przeze mnie wonieje rzepakami i lnem. Jest starutka, co widać po szernalych kłodach, niecce i młynku. Wszystko to ręcznej roboty. Dodano tylko śrubę żelazną, by lżej było. Olejarnię tę otrzymał, na tak zwaną

O D KILKU tygodni wystawiałem na sądowym korytarzu, czekając na okazję. Przez otwarte nagłym ruchem drzwi wymykali się z sali rozpraw ludzie głośni, rozgadani, obrzucający się obelgami i już targający się o prawo do telewizora czy staromodnej kanapy — daru wujka Stefana. Nie próbowałem nawet do nich podejść. Nie przysłem o rozmowę także tych, którzy z uśmiechem mi zbliżali się pośpiesznie do swoich nowych partnerów, wychekujących obok mnie w radosnym podnieceniu. Nie nagabywałem sędziów ani speców od statystyki (rozwód może być równie dobrze instrumentem polityki populacyjnej państwa). Nie pytałem księży ani sekretarzy. Szukałem racjonalnego wyboru — pary odchodzącej w smutku i rozgoryczeniu, w zamyśleniu nad kawałkiem życia, które odpadło jak wyschnięte łajno; ludzi świadomych roztrwonienia pewnego kawałka nie dającego się cofnąć czasu; ludzi, którzy z trudnego wyboru musieli włączyć w swoje rozbrabranie niedorośle koczujące do buntu dzieci, zdeptyując im start. Szukałem kogoś, kto chciałby z tym mówić, kto zgodziłby się nadać własnym myślom cechę powszechności. Żałę, że poznałem innym — wielu innym Wiedziadłem, że rozmowy takie nie będą łatwe; że będę się czuł jak „peeping Tom” (Tomcio-podglądacz), a oni będą przeżywać na nowo nie odstałą jeszcze w czasie tragedii.

Istota zawodu, który nakazuje podpatrywać życie w jego najgłębszym działaniu się, kazala mi jednak mieć nadzieję. I kiedy nie wierzyłem już, że dialogi te zostaną kiedykolwiek utrwalone, poznałem Beatę, Andrzeja i ich syna Michała. Michał wybierał się właśnie do „zerówki” a oni zamknęli dziewięć lat wspólnego życia. Po pierwszej rozprawie „godzącej”, druga potoczyła się gładko i bez komplikacji. — Niezgodność charakterów. — Z oszklonego gmachu, wyszli oddzielnie, bez otaczających ich rodzinnych klanów. Beata poszła do ich dawnego, wspólnego mieszkania, a Andrzej do wynajętego na ZOR Zachód pokoju.

ONA:

— Kobiety są bardziej twarde od mężczyzn. To lewizm, ale teraz czuję to szczególnie wyraźnie. Bez mojej woli nadal trwałibyśmy w zawieszonym, w sytuacji klasycznego pała, w sytuacji, w której niemożliwe byłoby życie żadnego z nas. Normalne życie; życie, w którym trzeba mieć nadzieję, czuć kryjącą się w przyszłości niespodziankę, możliwość odmiany. Nasze urazy pęczniałyby w nas jak rozgotowany groch. Nasza psychiczna niechęć przerażałaby się w niechęć fizyczną, a obecność w pobliżu drugiego byłaby jak obelga. Wszystkie te przechodziłoby na Michała i już z początku dostałby od nas swoje małe piekielko. Na to nie mogłam się zgodzić.

— Czy teraz jest lepiej?

— Tego jeszcze nie wiem. W każdym razie coś jest już jasne. To jakby nowy start. Nie rozumiem mnie źle. Nie ma we mnie chichotliwej podniekliwości i wcale nie czuję ulgi. Czuję raczej wielkie rozdygotanie, ale to lepsze niż ta dręcząca monotonia niezrozumienia. Ja chcę żyć i czuję w sobie siłę, żeby żyć po swojemu. Każdy człowiek powinien mieć przecież taką szansę. Ludzie patrzący na nas z boku nigdy nie potrafili dostrzec żadnego pęknięcia. Nasze życie tymczasem było męką niezgodności, na którą dopiero potem nakładala się męka klótni i zwad, i podchodów. Nasze rozstanie jest wyrozumowane; odbywa się jakby na Innej płaszczyźnie, niż to bywa zwykle. Takie rozstania powinny być akceptowane przez wszystkich; nie mają bowiem podtekstu złej woli, mają tylko wymiar pomyłki. Zwykłej pomyłki, w której nie można brnąć całe życie; wywróciłoby się je wtedy jak podszewkę w płaszczu. Nie można żyć fałszywie. Małżeństwo ma przynosić ludziom harmonię, dopełnienie się i przede wszystkim szczęście. Fałszywe przesłanki na początku muszą skończyć się właśnie tak.

— Macie przecież dziecko.

— Tak. To najtrudniejsze w całej tej historii... Zrobię kawy, dobrze?

Siedzimy w dużym pokoju, a Michał śpi za ścianą. Na obzernym placu za oknami popiskują młode dziewczyny. Z góry i z dołu do jednej z wielu blokowych klatek wciskają się przyduszone, sąsiadzkie głosy. Ostro pachnie przysmażana na kolację cebula.

— Gdyby ktoś cię tu zastał — mówi Beata — pomyślałby, że szybko się uwinęłam.

Stawia filiżanki na niskim, niewygodnym stoliku z gatunku tych, których nie znoś. Zawsze pielegnowałem pociąg do wysokiego rodzinnego stołu. Potrzebujemy kilku minut rozmowy o niczym, by mogła znowu wejść w tok tamtego myślenia.

— Widzę w tym zakłamanie od początku. Skończyłam psychologię i choćby dlatego nie mogę się mylić. Nawet gdybym tego nie czuła. Należały się na nas odmienne historie naszych rodzin. Tak niby zawsze bywa, ale my pochodzimy ze szczególnie odmiennych światów. Cechy, które ja cenilam, były dla Andrzeja mało ważne. Nie chcę mówić o nim, ale to w końcu dotyczy nas obojga. Nie potrafimy rozdzielić tej sprawy. Nie można jej rozdzielić. Andrzeja zajmowały rzeczy, które nie tkwią w życiu. Ja cała jestem życiem: najprawdziwszym, chodzącym mocno po ziemi. Potrzebuję innego mężczyzny niż on. Z małego pokoju zrobił pracownię. Wszystko było pochłapane farbami. Zobacz — to ja.

Wyciąga z szuflady w regale przyłożony prostokąt brystolu. Zapala górne światło.

— Przecież w tym jest miłość — myślę.

ROZWÓD PO LUDZKU

Wiesław Horabik

— Nie miał dość woli — mówi Beata — by uczynić z tego swoją profesję. Zorganizowali mu dwie wystawki. To wszystko. Na początku wciągnął mnie w ten ich świat. Dobrze się tam czułam. Wiesz, że zwiewne dziewczyny z opaskami na włosach, brodaci chłopcy te gadki nocne, błyskotliwe i pełne głębi i alkoholu. Byłam młoda. Nasz dom stał się kawiarnią na Montmartrze. To był zresztą taki czas. Nie wiem, skąd oni brali pieniądze, nam ich zawsze brakowało. Może byli z bogatych rodzin. To było także nasze polskie gadanie, nowe odkrywanie historii odkrytych tysiącokrotnie; ten brak praktyczności, brak poczucia realizmu, to duchowe rozbrabranie, z którego nic nie wynika. Musiało mnie to w końcu znudzić. Ja jestem samym życiem, takim dotykającym. Już ci mówiłam. A Andrzej malował i chodził do tej swojej biblioteki. Jego brak woli był moją obsesją.

— Macie dobre mieszkanie — mówię. — Masz — poprawiam się szybko.

— To zasługa jego rodziców — mówi Beata. — Dlatego mi szczególnie ciężko. Może stąd zabrać, co chce. Wziął wiele książek i te swoje szpargaly.

— Jak będziesz sobie teraz radzić?

— Dostałam alimenty na Michała. Pracuję. Dziecko idzie do szkoły. Pomoże mi mama.

— I co jeszcze?

— Mogę jeszcze należeć sobie kogoś. To moje prawo. Tej potrzeby nie mogę odrzucić. Tuż po tym, jak urodził się Michał, zrozumiałam naszą pomyłkę. Podejrzałam to już wcześniej, wtedy jednak uświadomiłam sobie, że dalej trudno będzie mi zachować lojalność własnych przeszłych uczuć. A przecież powinno być zupełnie odwrotnie. Po krótkim okresie czasu, w którym leżyło się tylko dziecko, miałam już pewność, że się pomyliłam. Coraz trudniej było się nam porozumieć, nawet co do oczywistości. To postępowo bardzo szybko, a on nie robił nic, by to zmienić. Byłam lojalna. Ostrzegalam go. Jestem człowiekiem dotykającym, chodzącym po ziemi. Nie rozumiał tego lub nie chciał rozumieć. Miał jakieś drobne miłostki, to wiem. A mnie wywindował na jakiś cholerny piedestał, jak lalkę. Nic więcej w tym nie ma. To było właśnie tak. Każdy człowiek musi mieć prawo do pełnego życia. Są takie chwile, kiedy trzeba zrobić coś nieprzyjemnego i nieuniknionego. Nie można żyć z garbem na plecach. A w każdym razie bardzo ciężko.

— Wysłaś z tego z dzieckiem, z mieszkaniem i z czym jeszcze?

— Z dziewięcioma utopionymi latami.

— I nie już w nich nie ma?

— Na razie tylko smutek. I jakaś cholerna zdra, że mogło być inaczej.

— A on?

— To męska sprawa. Mężczyzna musi sobie zawsze radzić od nowa. Tak ustawia to prawo i na pewno jest to słuszne.

— Co powiesz kiedyś Michałowi?

— Prawdę.

ON:

— Poznałem Beatę na obozie — mówi Andrzej.

— To był obóz ZMS-u czy harcerstwa, nie pamiętam już. Zawsze potrzebne mi było jakieś wewnętrzne uporządkowanie. Ona była twarda. Widziałem to od początku. Chodził mi o specjalny rodzaj uczciwości i upór w wytyczaniu celów. Zawsze powtarzano mi, że ludzie w małżeństwie winni się uzupełniać. Zapewne tak jest, chociaż musi w tym być jakieś generalne spoiwo, jakby kłama, poza którą wszystko inne nie jest już tak ważne. Ale tylko poza nią. Nie, to nie było wyrozumowanie. Zachwyciła mnie jej uroda i pokochałem ją taką, jaką była. Rozwód to jakby sprawa dla bardzo dorosłych, a ja wciąż mimo lat, które mam, nie czuję się do tego dojrzały. Nie wierzę w rozpoczynanie jakiegось nowego życia. A jednak mnie nie rozumiała.

Spacerujemy w chłodnym powietrzu nocy wciąż tą samą trasą: Puławska, kawałek Alei Raclawic-

kich, Spadochroniarzy, Puławska... Andrzej nie chciał rozmawiać w swoim pokoju. Z uporem starałam się zapamiętywać jego słowa tak, jak brzmią naprawdę. Tutaj nie mogę robić notatek.

— To taki dziwny rozwód — kontynuuję. — Jakby ponowny wybór, jakby gumka ścierająca błęd. I to jest najbardziej tragiczne. Gdybyśmy się bili i na siebie pokrzykiwali, byłby w tym sens. Szkoda, że nie pogadałeś z takimi. Znalazłbyś w tym przynajmniej kawałek życia.

— Może jeszcze pogadam, ale to też jest życie — mówię.

— Jesť tu też ten trzeci. Może ta trzecia...

— Dlaczego nie jesteś u diabła, szczerzy?

— Bo w tym naprawdę jest coś więcej niż to zwykle bywa. I jest Michał. Nie mogę sobie z tym poradzić. Nie mogę nawet myśleć o tym za bardzo. Szaleję, kiedy pomyślę, że nie będzie rósł obok mnie, nie będę go kształtował na co dzień, nie będę go wspierał. Czasami chcę sobie wmówić, że to wszystko nieważne, że przemijamy i tak bez echa, że wszystkie te więzy to wymysł ludzki i że tak naprawdę nie się nie liczy. Boję się, że może przyjąć ktoś następnym i wtedy Michał naprawdę zostanie sam. Gdybyśmy tylko o nim myśleli, zostalibyśmy razem. A my wciąż myślimy tylko o sobie. To mnie najbardziej boli. Beata gonzi z własnym szczęściem i w tym pędzie pogubimy los Michała. Żeby był chociaż trochę starszy. Kobiety są bardziej praktyczne. Nigdy nie ożenię się po raz drugi.

— A ta trzecia?

— To jest nic. Normalny odskok.

— A dla niej?

— Dla niej też. Beata nigdy mnie nie rozumiała. Nie rozumiała mojej pasji. Nie rozumiała całego mojego wnętrza. Niektóre sprawy skazują na samotność. Nie chcę jej już widzieć. Tam, przed tą sędzią, zamknęło się wszystko. Będę tylko widywał Michała i czekał na dzień, kiedy okaże się mu potrzebny i wtedy będę tam, by mógł przyjść. Wszystko pozostałe nie ma sensu.

— Co teraz malujesz?

— Nie maluję nic. Rozmazuję jakieś linie i kropki. Czuję wielką pustkę, z której kiedyś będę musiał się wygrzebać jak z głębokiego rowu.

— A ta trzecia? — powtarzam

— To tylko instynkt. Nikt już nie potrafił mnie wesprzeć duchowo. Cały czas wstawiam w siebie konieczność samotności. Najgorzej są starzy. Mają zawsze swoje racje. Nie mam u nich zrozumienia. Ludzie z pewnymi pasjami zawsze powinni być wolni.

— Zostawiłeś jej wszystko.

— Prawie. Nie mogliśmy tkwić obok siebie, a ona nie mogła odejść z Michałem. Jestem znów w punkcie wyjścia.

— Jak będziesz teraz żył?

— Teraz może będę malował naprawdę. I dalej będę odwalal tę swoją codzienną, monotonna robotę.

Z tyłu, za naszymi plecami przemykają zapóźnieni przechodnie. Ulicą przejeżdża wolno radiowóz. Pewnie budzimy podejrzenie w martwym o tej porze mieście. Nie zataczamy się. Po wczesnym deszczu pachną mocno drzewa. Zbliża się północ.

— Może przyjdą noce i znowu to we mnie rozgrzebie. Teraz, kiedy o tym trochę pomówiliśmy, wszystko wydaje się proste, ale wiem, że będą takie dni, czy godziny, że te dziewięć lat wróci do nas pustką i niepokojem i znowu pojawi się ta cholerna potrzeba, by mieć kogoś przy boku, by ocierać się o kogoś, by poczuć ciepło, kiedy wrócisz do domu. I wszystko to nieodmiennie wprowadzi kaźnię z nas w nowy układ. Czy to nie głupie? Tylko Michał nie już nie przywróci do normalności. Jak zdra będzie w nim tkwić brak jednego z nas. Będzie się z tym obnosił po świecie aż nadzieje jego pora na stadne życie. Wszystko będzie zależne wtedy od jego wrażliwości. Rozeszlimy się bez orzekania winy — za porozumieniem stron. To był taki humanitarny rozwód, prawda?

— Każdy ma jedno własne życie.

— Każde ma jedno własne życie.

— Każde ma jedno własne życie.

— Każde ma jedno własne życie.

— Każde ma jedno własne życie.

— Każde ma jedno własne życie.

— Każde ma jedno własne życie.

— Każde ma jedno własne życie.

— Każde ma jedno własne życie.

— Każde ma jedno własne życie.

— Każde ma jedno własne życie.

— Każde ma jedno własne życie.

— Każde ma jedno własne życie.

— Każde ma jedno własne życie.

DEBIUT

Koło w górze, koło w dole...

Witold Opat

CHARAKTERYSTYCZNY terkot trybów, ruszają w wir trzy bębny znaczone symbolami. Kuszą ślepym trafem fortuny. Gracz czeka z zaciśniętymi palcami. Oby dopisało szczęście! W końcu musi wypaść! Z lekkim stukotem staje pierwsze koło — podwójne! Skóra ciernie, mięśnie tęteją — buch! — znowu podwójne. Zanim zdąży się nadmiernie podniecić, staje trzecie koło... śliwka!

Marian poczuł się bezsilny. Rzucił się beznadziejną grą, uciec i nie oglądać się za siebie. Uciec! Niestety, gracz, który przegrywa, nigdy nie będzie uciekać, wręcz przeciwnie.

Marian cierpi fizycznie i psychicznie. Boli na nogach ładnych parę godzin bez żadnego odpoczynku. Mięśnie wykonują ciągle te same ruchy. Jednak najgorsze ze wszystkiego jest oczekiwanie końca. Oto odchodzi od maszyny z otęploną miną, bez jednego żetonu, bez grosza przy duszy, a ktoś inny zajmuje zwolnione miejsce. Maszyna jest pełna, może zacząć sypać w każdym następnym ruchu.

Marian pości się ze strachu, czerwienieje i blednie na przemian. Obok stoi Kikuś, świadek klęski i upadku autorytetu „mocnego” gracza. Ma minę pełną troski, szczerego współczucia, ale dzwoni żetonami w kieszeni. Na razie nie gra, kibicuje. Wietrzy, gdzie można coś wyciągnąć, a już za parę minut ta

maszyna będzie wolna, pieniądze poszły, żetonów tyle, co w garści. Do licha jasnego! Ta piekielna kupa złomu zżarła 60 tysięcy złotych!

Marian zaciska zęby. W takim stanie nerwów mógłby wykrzyknąć bezmiar żalu na cały lokal. Zerka na suchą twarzyczkę Kikusia. Znają się nie od dziś. Na maszynach Kikuś stracił podobno grubą grosz, każdą złotówkę nosił tutaj w kieszeniach sfatygowanych portek. Takie o nim krążą opowieści, ale jak jest naprawdę, to tylko Kikuś wie.

Mieszają się myśli, wypacza rzeczywistość. Kikuś jest równy chłopak, inni również. Tutaj panuje pewnego rodzaju solidarność — człowiek przeciw maszynie, ramię przy ramieniu.

Palce poczerwieniały od metalicznego nalotu, stają się drętwie, nieczule. Żeton, wcisnięty zbyt szybko, zostaje przez maszynę pogardliwie wypłuty do rynienki. Ta bezduszna bestia nie przyjmuje najdrobniejszych niedokładności.

— Odbiło paskudnie na trzecim — komentuje Kikuś rezultat kolejnej gry. — Powinieneś, kolego, wałnąć pięścią od spodu. Nikt nie zobaczy, a maszyna mogła naskoczyć.

— Akurat! — warczy Marian bez odrobiny godności. — Lupniesz, a wyskoczy z układu na złość. Widziałem już takie numery... — cichnie raptem, bo w gardle zaczyna drapać. — Nie

rozumiem — wyznaje nagle pokonany — powinna dać choćby wiśnie.

— Jasne, że powinna! — zgadza się łatwo Kikuś. Zawsze był taki szczerzy, aż przyjemnie z nim grać. — Coś tu nie pasuje — mruczy zamyślony i już kręci głową na chudej szyi w poszukiwaniu znajomych.

Wokół trzaskają dźwignie, w barwnym półmroku stoja przy maszynach gracze. Sypią się żetony, można by sądzić, że pękły wrota sezamu. Nic bardziej mylącego, to blaszane rynienki. Wystarczy parę monet, by narobiły halasu rozpasanego bogactwa.

— Pójdę pogadać, może ktoś coś wie — ofiaruje usługi Kikuś.

— Idź, idź! — pogania Marian. Bardzo chce zostać sam, choćby na małą chwilę. Może obecność tego mizeraka przynosi pecha, może odmieni się passa.

Z nowymi silami szarpie dźwignią. Nerwowo przejeżdża językiem po górnej wardze, jest nieprzyjemnie szorstka, postrzępiona.

Buch! — stoi pierwsze koło. Drugie! — Trzecie! Marian zgrzyta zębami. Beznadziejna kombinacja figur, bary zapodziały się gdzieś, uciekły jak od ostatniego pariasa. Do tej chwili ich równe rzadki krążyły w polu widzenia, na górze, w dole, kusily bliskim zejściem. Teraz koniec! Oby ten Kikuś wreszcie wrócił! Wszystko bujda! Trzeba pogodzić się z przegraną. Żadna siła

będzie musiała wziąć pożyczkę! Czy przypuszczała — Marian zastanowił się — że jej mąż zdolny jest rozstrzelić coś, co przeznaczone jest na dom? Wartość bezcenna, istniejąca tylko dzięki wspólnemu wysiłkowi kruchy skarb wzajemnego zaufania.

— Zie wybrałeś bracie! — Kikuś jest już z powrotem. Opiera się bokiem o maszynę i z uwagą śledzi wirujące bębny.

— Co jest? — pyta Marian i głośno wypuszcza powietrze.

— Marnie — Kikuś kiwa ptasia głową. — Ta maszyna dała wczoraj no-trójne. Człowieku! Na coś ty się na-dział! Sypała jak wariatka, myślał że coś w niej pękło. Cztery razy pod rząd najwyższą stawkę! Wyobraź sobie teraz, ile trzeba machać wajchą, aby wyrównać ujemny bilans.

— Powiedz — Marian prawie krztusi się słowami — czy przed południem również nikt na niej nie grał?

— Przed południem, to znaczy rano, bywają tu tylko mądrala. Wiesz przecież, jak jest. Nikt nie będzie skory napelnić pustą baniak w własnej kieszeni. Wszyscy czekali na gościa z for-są. Ale ciebie? Ciebie powinni uprze-dzić.

pragnienie rozpoczęcia gry. Puścić kilka razy bębny w ruch i uciekać, ot, taki sobie relaks psychiczny.

Marian był tu gościem trzy razy w tygodniu, nie częściej. Zwawy, przyja-



Rys. Józef Tarłowski

nie wyciągnie z maszyny tego, co zżarła!

Dlaczego stracone pieniądze wydają się tak ważne, dręczą nadmiernym żalem? Przecież bywają większe nieszczęścia, tragedie nawet! A ludzie żyją dalej, starają się ukołić żal. Jeżeli popełnili błąd, unikają następnego. Pieniądze? Można je zgubić albo zostać okradzionym. Jakże często zdarzają się takie przypadki. Zna pracując i zarabia — takie teraz czasy. Weźmie pożyczkę, zaklei dziurę w budżecie, aby przeżyć do pierwszego. Tak! Ona

Marian energicznie kiwa głową. Złapał naiwniaka z forszą. Widzieli u mnie grubszą gotówkę przy wymianie pierwszej porcji żetonów.

Przypomniał sobie, jak to było. Wpadł po pracy, tym razem tylko na chwilę. Zna czeka na forszę, jest z kimś umówiona w sprawie okazynego zakupu. Jakże dalekie wydają się problemy, które przed-paroma godzinami absorbowowały czas i umysł. Maszyna stała wolna, parę żartów rzuconych nie wiadomo komu, nieodparte

Takie sobie przedstawienie...

Lidia Wójcik

POWIADA Aleksander Blok w „Liscie o teatrze”: „Sztuka, jak i życie, nie jest na miarę słabych”. Od artysty wymaga się zwykle nie tylko talentu, także odwagi. W życiu umie brozić swojego dzieła, nawet jeśli wyraża się to niemożliwe, jeśli łączy się z upokorzeniem, koniecznością ofiar. Nawet jeśli wiodzie do upadku moralnego, do sytuacji, kiedy trzeba, jak Bulhakowski Molière, „lizać ostrogi” przez całe życie. Los artysty, rozpięty pomiędzy koniecznością sztuki a siłą administracyjnego przymusu aparatu władzy, doskonale pojmował Michail Bulhakow. U progu lat trzydziestych sytuacja Bulhakowa, wówczas już autora m.in. „Ucieczki”, „Dni Turbistów”, „Białej Gwardii”, stawała się coraz bardziej żrąca, literackie ataki przekształcały się w polityczne oskarżenia. Bulhakow zwrócił się wówczas do rządu listem z 28 marca 1930 roku. A potem odbyła się rozmowa telefoniczna pisarza ze Stalinem: „... A może naprawdę puścić was za granicę? Co, tak bardzo wam dopiekliśmy? — Dużo myślałem w ostatnich czasach o tym, czy rosyjski pisarz może żyć z dala od ojczyzny i wydaje mi się, że nie może. — Odpowiedział Bulhakow. Na to

Stalin: — Macie szlachność. Ja również tak myślę. Gdzie chcecie pracować? W MCHAT-cie? [...] Prześlijcie podanie. Mnie się zdaje, że się zgodzą...” (cyt. za „Dialog” 1969, nr 6).

Strzępy owej rozmowy i ślady ówczesnej sytuacji pisarza łatwo odnaleźć można w napisanym wkrótce dramacie „Molier czyli Zmowa świętoszków” (1932 r.), dramacie o kondycji artysty w realiach ustrojowych monarchii absolutnej. Bulhakow głęboko filozoficznie i uniwersalnie ujął temat powołania artysty w świecie bezgranicznej i nieobliczalnej władzy satrapów, w rzeczywistości, gdzie polecenia, wydawane przez władzę (Ludwika XIV) w przestrzeń, realizowane są szybko i sprawnie.

Ten dramat o dialektyce związków: artysta — władza trafił do Polski, jak zresztą duża część dorobku Bulhakowa, ze znacznym opóźnieniem (druk w „Dialogu” 1964). Nie wzbudził jednak w naszych teatrach większych emocji. Zresztą spektakle na ogół pozbawiały dramat bulhakowskiej pasji i jadu, nie wychodząc poza ramy sztuki kostiumowo-biograficznej o życiu Mollera. Do rangi dramatu dorastała jedynie telewizyjna realizacja Macieja Wojtyzki (1980), ze znakomitymi rolami Haliny Mikołajskiej (Magdalena) i Tadeusza Lomnickiego jako Mollera, rolami, w których zaistniało

coś więcej niż tylko wysokiej klasy aktorstwo. I trzeba dodać tu od razu, że w przypadku tej sztuki koncepcja postaci Mollera jest jednocześnie pomysłem na całe przedstawienie. Bulhakow, oczywiście, nabywał w tej postaci dosyć wysokie piętra trudności, ale trzeba wiedzieć, że przeznaczał tę rolę dla znakomitego aktora MCHAT-u, Moskwina.

Zresztą premiera tej sztuki w MCHAT-cie stała się dla Bulhakowa wielkim dramatem. Praca nad „Molierem” trwała kilka lat i wciła nie mogło dojść do premiery. Wreszcie w lutym 1936 roku odbyło się sześć prób generalnych i siedem spektakli, które miały ogromne powodzenie. W teatrze panowała opinia, że choć było to przedstawienie wybitne, nie oddawało wszystkich subtelności samej sztuki. Ukazała się jednak szybko bardzo krytyczna recenzja i dyrekcja MCHAT-u przedstawienie zdjęła z afisza. Pisarz był bardzo rozgoryczony, że MCHAT nie podjął obrony jego sztuki w owym trudnym czasie, kiedy Bulhakowa nie drukowano i nie wystawiano.

Piszę o tym wszystkim nie po to tylko, żeby nadrobić niedociągnięcia Teatru im. Osterwy w zakresie braku wydania programu teatralnego, ale raczej żeby powiedzieć, jak wiele ta sztuka może znaczyć, jak pojemna, choć jednocześnie niezwykle

cielski. Zartował i śmiał się. Nasłuchiwał stukotu dźwigni i rzeku sypających się monet. Grał na ruzie woyny od namiętności hazardzisty. Był pewien, że jest panem własnej woli i że-żanej osobowości. Śmiechu warte! Megalomańska samoocena mała jest warta jeśli nie kształtowała się w ogniu walki.

— Powiedz, ile właściwie przetrza-les? — pyta Kikuś ze szczerym współ-czuciem.

Marian przełyka ślinę przez ściśnię-te gardło. Chwilę czeka b głos nie zabrzmiał fałsetem zarzynanego kozu-ta.

— Może dziesięć kawalków, nie wię-cej — kłamie. Bo i dlaczego tamten pyta? Chciałby wyciągnąć czego nie włożył? Myśli puchna jak obraz w oku ryby. Czuje się malutki, o rozdu-tej strachem twarzy. Serduzsko kołaze zwielokrotnionym rytmem. Oto ostat-nie pięć żetonów w garści!

Kikuś nie wie, że maszyna zżarła Marianowi 60 tys. Lepiej nie ryzyko-wać? Marian powziął decyzję. Stracone szanse na odegranie, ale przecież maszy-na zacznie w końcu sypać. Kto wie, może już w pięciu ruchach. Właśnie w pie-ciu, a nie w jednym! Ostatnim! Usta-wia się bokiem, odpycha spocnym ciałem. Oplacił stawkę za jeden żeton i już ciągnie dźwienie maszyn.

— Co jest! — Kikuś przepycha się za plecami. Usiłuje obejść. Daremnie. Coś za bardzo zainteresowany ten Ki-kuś. Ktoś go poinformował, ile forsy sędzi w maszynie. Czekała hiena, aż ofiara się wykończy! Figa!

— Poczekaj, poczekaj! Zaraz cię puszcze — syczy Marian. Naraz milk-nie. W piersi brak oddechu, serce za-trzymuje się na ułamek sekundy. Oto kolorowe tarcze w równych rzędkach barów — buch! — Sto! trzecie koło! Podła mała duszyczko! Wszak powin-naś pamiętać o ślepej sprawiedliwości!

— Rany boskie! — wzdycha Kikuś wywinięty pod ramieniem. — Potrójne za jeden! Coś ty... Maniūs...

Sypią się żetony, dzwonią wprost do białej rynienki. Oszalała maszyna pyszni się bogactwem. Patrzcie! Podzi-wiajcie moją szczodrość!

Ktoś parsknął:

— Spalił potrójne, oferma!

Za plecami śmiechy. Lepiej się nie oglądać, bo buchną prosto w nos Mi-goczą światełka, maszyna brzęczy i dzwoni w bezmyślnym triumfie. Nie wie głupia, że człowiek targany na-miętnościami zwątpił w jej sprawiedli-wość i poskąpił należnej daniny. Teraz, zamiast czterdziestu tysięcy... figa!

Milknie rozdzwoniona rynienka. Wra-ca spokój. Gracze sięgają do dźwigni, ciągną. Metaliczny terkot, wirujące tarcze. Marian wymyka się chyłkiem i w kasie wymienia żetony. Usiłuje wyprostować kark, unieść troszkę wy-żej głowę — kiedyś nosił ją bardzo wysoko — i nie może.

Za plecami cichnie brzęk żetonów, roztopia się w ulicznym szumie terkot dźwignii.

subtelnie zakreślona, jest jej semantyka. I jak nie-latwo w sumie Bulhakowa pokazać w teatrze, z rozmaitych, zresztą powodów.

Realizator lubelskiego przedstawienia „Moliera”, Bogusław Linda, w sztuce reżyserii właściwie de-biutant (jest to jego trzecie czy czwarte przedsta-wienie), potraktował Bulhakowa, jakby nosił w kufrze wieczystą dzierżawę reżyserkich sukcesów.

W wywiadzie dla „Sztandaru Ludu” (1986, nr 138), udzielonym w okresie realizacji sztuki, Bo-gusław Linda powiedział: „W reżyserii — w sztuce reżyserii — sprzedaje swoją myśl, swój światopogląd”. Ha, cóż! A czy nie warto by może sprze-dać myśli Bulhakowa, skoro już rzecz dotyczy jego sztuki. W tym miejscu wypadałoby przywołać za-słyszaną kiedyś wypowiedź Zbigniewa Zapaslewi-cza: „Młodzi aktorzy chcą sprzedawać w teatrze swoje wnętrza, bogate wnętrza, a jakże. To śmiesz-ne. Widza interesuje przecież wnętrza Hamleta, Konrada... A jak chceś pan pokazywać swoje wnętrza, to idź do domu”. Z reżyserią rzecz ma się wprawdzie nieco inaczej, aliiści jestem przekonana, że w tym przypadku widza interesuje przede wszystkim Bulhakow.

Kształt plastyczny przedstawienia w paru miej-scach pozostaje bliski atmosferze dramatu i dida-kskallom (schody, kolumny, świece, mroczność scen w teatralnej garderobie). Te zbliżenia ku bulha-kowskiemu dramatowi następują tylko w war-stwie zewnętrznej, natomiast całość niesie treści zupełnie obec, wypukane dokładnie z istotnych sensów sztuki. W sposób wyjątkowo płaski potrak-towano scenę ostatniej żywej spowiedzi aktorki i przyjaciółki Moliera, Magdaleny Bejart, pozba-wiając ją wymiaru moralnego zmagania się czło-wieka z samym sobą i z własnymi słabościami w obliczu śmierci.

Zbigniew Walszewski

SEN

Przechodzisz czasem we śnie
a w oczach masz pełno
niczego
twoja twarz jest
blisko
a oddech spotyka mój wópół
drogi
mój jest szybki
i chrapliwy
twoj odległym
szepcąc
jeszcze nie zmienił się
w rzęzenie
potem westchnienie
słumione
i cisza
krzycząca dniem.

OCZY

Mój ojciec ma
oczy
w których jest
zmęczenie świata
i kurz
w źrenicach
oczy
które mają
rany od ostatnich
drogowiskazów
oczy
w których jest coś
pomiędzy pożegnaniem
a przerażeniem
oczy
za smutne by je
osierocić.

LIRYK

Zostawiłaś wiele
na klamece
odciski palców
w szafie
zapach sukienki
na podłodze
ślady stop
w lustrze
swoje odbicie
na suficie
westchnienia
tylko nadziei
nie zostawiłaś.



Rys. Zbigniew Walszewski

NADZIEJA

Moja nadzieja jest
taka mała
że widać ją tylko przez
powiększające szkło
jak miłość zakurzona wyciera
z kątów
nie żegna się gdy
umiera
nie wita gdy
zmartwychwstaje
do życia potrzebna jej jest
twoja zgoda
i nie więcej.

EPILOG

Skończyła się aria bez
partytury
pantomina codziennych
gestów
pokaz akrobacji INNOŚCI
wysoko i bez siatki
pod fałszywą
kurtyną
na tle metafor bez
znaczeń
— ja
aktor bez widowni
ucharakteryzowany na
człowieka
z nekrologiem na
bis.

SPACER

Chodź ze mną na spacer
nie pokażę ci mojego
dzieciństwa
nie mogę odnaleźć
młodości
pod samotnością leży moja
dojrzałość
a obok pod cierpieniem
starość
nie noś po mnie
żałoby
zmartwychwstań wierszem.

PRZEMIJANIE

Różnie malowałem
śmierć
jak gasnący płomień
lub klepsydrę
bez piasku
jak trupią czaszkę
w oku
lub krwawą łzę
teraz wiem
jak wygląda naprawdę
ma siedemdziesiąt
lat
swoje włosy
i twarz
mojej matki

Napisałam już, że kształt sceniczny „Zmowy świę-toszków” zależy od pomysłu na rolę Moliera. Włod-zimierz Wisniewski, podejrzewam, włożył w tę rolę najlepsze swoje umiejętności, co, wystero-wane jednak w zupełnie niewłaściwą stronę. Nie ma w tej postaci dramatu owej bezlitosnej walki o prawo wypowiedzenia prawdy, nie ma owego szcze-pienia ludzkich słabości i nadludzkiej siły talentu. Nie ma po prostu tej postaci Moliera, który stara się „kupić” króla, aby ratować swojego „Świętosz-ka”. Moliera, który chciał — jak pisał radziecki krytyk Konstantin Rudnickij — „ocalić jedyne szczęście, jakie jest dostępne artyście: chciał, aby naród oglądał jego sztuki. Ale między pisarzem a narodem stała władza, między geniuszem a tymi, których myśli wyraża ten geniusz, stało isniące, wspaniałe — i groźne państwo”.

W lubelskim przedstawieniu nie dostrzegam gro-zy owego wazechmocnego państwa Ludwika XIV, które łamie i niszczy wszelką ludzką indywidual-ność. Państwa z władzą i sposobami rządzenia opartymi na donosicielstwie i szpiczku. Jest to barwne, kostiumowe przedstawienie, tyle, że wła-sciwie o niczym i nie bardzo wiadomo, w imię czę-go zrealizowane. Zresztą nie wypada może się te-mu dziwić, może po prostu przedstawienie to „sprzedaje” myśli reżysera, nie zaś Bulhakowa.

To jeszcze nie wszystko. Jest w przedstawieniu tym sporo śmiesznych wprost potknięć i nonsza-lancji reżyserkiej, za jaką w szkołach teatralnych początkującym adeptom reżyserii dają dwójce. Za-tem po kolei: sprawa wchodzenia i wychodzenia aktorów, kompozycja scen zupełnie nieudolna, „dziury”, puste miejsca w obrazach i sytuacjach; wreszcie chyba z dziesięć otwartych zmian deko-racji, trwających w przyćmionym świetle po kilka

minut każda, jest po prostu nie do wytrzymania, rozbija bowiem na odrębne kawalki konstrukcję tego spektaklu Bogusław Linda bezgranicznie zaufał swojej wyobraźni reżyserkiej, nie zauważając wcale, że sam Bulhakow zaplanował dramat bar-dzo teatralnie. Spektakl wyrasta zapewne z prze-konania reżysera, że teatr buduje się z kolorowych obrazków i głośno wypowiedzianych słów.

Muzyka, muzyka, najważniejsza w tym spektak-lu. Wydaje się jedynie cenna i mająca najbliższe chyba związki ze sztuką Bulhakowa. Nad zdarze-niami konfiguracjami postaci pozostaje stale za-wieszona właśnie muzyka. Istnieje ta kompozycja Przemysława Gintrowskiego sama dla siebie sta-nowiąc doskonałą autonomiczną całość, ale jedno-cześnie trudno by bez niej znieść to przedstawie-nie. Więcej nawet: może będzie mi się już stałe kojarzyć z tekstem Bulhakowa. Jej fragmenty mo-gą pozostawać doskonałym przekładem muzycznym istotnych sensów i znaczeń dramatu. Królestwo muzyki, które wydaje się być poszukiwaniem kró-lestwa człowieka. To jedyne bodaj, co warto ocalić z ulomnych kształtów tego przedstawienia. Muzyki nie powinno się jednak opowiadać, ale bardzo, zresztą, jest to możliwe. A poza tym, cóż, okaza-ło się w teatrze, że dramat Bulhakowa to po pro-stu taka sobie sztuczka o Molierze.

„Molier” („Zmowa świętoszków”) Michaila Bulhakowa w Teatrze im. Osterwy w Lublinie. Przekład: Jerzy Pa-mianowski, reżyseria: Bogusław Linda, scenografia: Ja-nusz Sosnowski, muzyka: Przemysław Gintrowski. Pre-miera — czerwiec 1985.



Od Cassino do Bolonii

Intermedium: cmentarz Tavernelle

Feliks Kępa

POMYŚLNIE rozwijający się przebieg bitwy 2 Korpusu Polskiego o Ankone (17 lipca 1944 r.) postawił nas w pełnym przygotowaniu do dalszych działań zaczepnych.

W nocy z 17 na 18 lipca każdej chwili oczekiwaliśmy rozkazu rozpoczęcia pójścia za nieprzyjacielem. Około północy dołączył do nas na Monte Fredo 1 pluton ppor. Tadeusza Zontka, opuściwszy dotychczasowe stanowiska obronne koło słynnego mostu pod Numana, który Niemcy wciąż próbowali zniszczyć, aby w ten sposób stworzyć przeszkodę dla wozów pancernych Pułku Ulanów Karpaccich. Po uciążliwej służbie bojowej na Monte Fredo i pod Numana (przez pełnych dziesięć dni) znów 2 Kompania „Commando” była w całości razem.

Mieliśmy isę na Ankone przed szpicą 1 Szwadronu Pułku Ulanów Karpaccich, który zajmował ten odcinek frontu, i który od prawie dwóch tygodni byliśmy czasowo podporządkowani Karpaccy, dr Adam Majewski, autor wspomnień „Wojna, ludzie i medycyna” — wydanych w Lublinie i wielokrotnie wznawianych — tak pisał na kartach swej książki o tym stymnym pułku: „Była to jednostka o bardzo specyficznym charakterze. Pułk nie miał żadnego numeru. Powstał w Syrii i zasadniczo był początkowo oddziałem rozpoznawczym Brygady Karpacciej. Brał udział we wszystkich walkach pustynnych i tam szybko wyrastała jego tradycja, równie piękna jak całej brygady. [...] Dobierano do niego żołnierzy o dobrej

prezencji, przywiązanych do tradycji Karpacciej Brygady. Byli nieoficjalnie strażnikami Polskiej Siły Zbrojnych. Opowiadano o różnych nieprzeciętnych wyczynach tej jednostki z okresu oblężenia Tobruku i innych sławnych akcji kampanii libijskiej. Wszyscy oficerowie i żołnierze Karpacciego Pułku Ulanów na kołnierzach, jako odznaki pułkowe, nosili srebrne, małe palmy. Odznaki te figurowały także na krzyżach grobów poległych oficerów i żołnierzy pułku. Chodziła pogłoska, nie wiem, o ile prawdziwa, że nadużyto pułku dla przedwczesnego sforsowania dołka do Ankonę”.

Pułk Ulanów Karpaccich był jednym z trzech pułków rozpoznawczych 2 Korpusu Polskiego. Inaczej jednak niż 13 Pułk Ulanów Podolskich (będący rozpoznawczym pułkiem 3 Dywizji Strzelców Karpaccich) i 15 Pułk Ulanów Poznańskich (pułk rozpoznawczy 5 Kresowej Dywizji Piechoty) ulani karpaccy byli jednostką korpusną, oddziałem pozadywizyjnym. Szwadron Pułku Ulanów Karpaccich liczył 21 samochodów pancernych, a pułk miał ich 67. Tak był stan etatowy. Pułk liczył wraz z plutonem łączności i czołówką naprawczą — znów według etatu — 39 oficerów i 710 podoficerów i żołnierzy (pułki dywizyjne: 44 oficerów i 898 żołnierzy). Dowódcą Pułku Ulanów Karpaccich był ppłk Stanisław Wyskoła-Zakrzewski, jego zastępcą — mjr Michał Paciork.

Główne natarcie 2 Korpusu Polskiego na Ankone szło lewym skrzydłem siłami 5 Kresowej Dywizji Piechoty i 2 Brygady Pancerniej na kierunku: Monte della Crescia — Poliverigi — Agugliano, dla oskrzydlenia przeciwnika, przyparcia do morza i odcięcia od dróg umożliwiających ewentualne wycofanie się na północ, w górę „włoskiego buta”. Pościg 3 Dywizji Strzelców Karpaccich szedł prosto na północ ku Ankonie (na dotychczasowym kierunku działania Korpusu wzdłuż drogi nr 16) dla zdeorientowania przeciwnika; Pułk Ulanów Karpaccich miał isę wzdłuż morza i na wschód od szosy nr 16, przez Camerano i Tavernelle.

Pościg za nieprzyjacielem rozpoczął się dla nas gdzieś pomiędzy godziną pierwszą a drugą, nad ranem 18 lipca.

Noc była ciemna i chmurna, padał deszcz. Szliśmy wąską dróżką obok miejscowości Il Coppo; szpicą, za nią 3 pluton z czołową drużyną saperką kaprala Jana Kuleszy, następnie dowódca kompanii ze swym poczem i 2 plutonem Jego dowódcy, pchor. Adam Hodur, ciężko ranny, przebywał w szpitalu i na końcu pluton i ppor. Zontka. Do Camerano było około pięciu kilometrów w linii powietrznej.

Kierując się ostrożnie na silny dotychczas punkt obrony niemieckiej, wysunięty na południe od Il Coppo, stwierdziliśmy, że Niemców już tam nie ma.

Poruszaliśmy się teraz szybciej, podążając na Villa Boronetti — C. Urbani — C. Paci — cegielnia Freddara tuż pod Camerano. Przemarsz z Monte Fredo do Camerano wyniósł ostatecznie około ośmiu kilometrów; górskie drogi nie są tak proste jak lot ptaka.

Tempo posuwania się nie było równomierne. Licząc się z pozostawieniem przez Niemców min na drodze, saper kapral Kulesza coraz to zatrzymywał nasz marsz ubezpieczony, rzucając przed siebie saperką kotwiczki i szpilki mające podejrzane miejsca, szczególnie w samym Camerano, które osłabiliśmy jeszcze w czasie nocy. Miasteczko, położone na wysokości 231 metrów nad poziomem morza, górowało nad całą okolicą, dając dotąd Niemcom doskonały widok na Monte Fredo, wal wzgórz, zabudowania Petromille, Villa Virginia oraz całe ugrupowanie Pułku Ulanów Karpaccich. Stąd właśnie tak nam dokuczała i zadawała straty niemiecka artyleria.

Przeszliśmy szybko przez Camerano, kierując się ku miejscowości Casette, położonej na jego północnym skraju. Tutaj na dole dopędzili nas już o świcie ulani na swych bojowych wozach. Grając motorami ciężkich trzynastot-

nowych amerykańskich staghoundów i zwładowczych scout-carów szybko poszli do przodu, przejmując dalsze zadania pościgowe. My zaś, dokładnie zmączeniu i niewyspani, zatrzymaliśmy się po prawej stronie drogi wiodącej na Gli Angeli. Każdy padał gdzie mógł, byle pod dachem, i natychmiast zasypiał. Ja sam także zwałem się na jakąś kanapę przy płonącym kominku, marząc, by przespać się przynajmniej godzinę. Byliśmy wykończeni wielodniowym czuwaniem na Monte Fredo, bezsennością ostatnich nocy, minionym marszem.

Odpoczynek nie trwał długo: półtorę, może dwie godziny. Wczesnym rankiem dotarła do Casette nasza kompanijna „Astrid” ze śniadaniem — trzytonowa ciężarówka, ochrzczona tym imieniem przez Belgów, którzy byli jej



Płk Stanisław Wyskoła-Zakrzewski, dowódca Pułku Ulanów Karpaccich. Repr. Robert Lipski

poprzednimi posiadaczami. To jakoś zrekompensowało krótki sen. Tutaj, w Casette, powierzyłem dowództwo 2 plutonu kpr. pchor. Tadeuszowi K.

Ledwie skończyliśmy isę, na drodze pojawiły się trzy otwarte transportowe trzytonówki. Okazało się, że ulani potrzebują natychmiast naszej pomocy. Niewiele pytając, ubici jak śledzie w beczce w tych ciężarówkach, ruszyliśmy pełnym gazem na przód. Tyle się po drodze dowiedzialem, że Pułk Ulanów Karpaccich utknął pod miejscowością Tavernelle, już całkiem blisko Ankonę. Jak się wkrótce miało okazać, rozpoznanie pułku stwierdziło jakoby na miejscowym cmentarzu obecność niemieckiej obrony; piechotę nieprzyjaciela oraz pewną liczbę dział ppanc.

Około półtora kilometra przed cmentarzem Tavernelle, już po przekroczeniu Paso di Varano, ciężarówka zatrzymała się. Błyskawicznie wyładujemy się z nich i dalej walimy pieszo: najpierw pluton 1, za nim 3, a 2 pluton jako ostatni.

I tutaj nagle, w rejonie C. Biasi, wzg. 73, „nadszliśmy się” na... kapitana Stefana Zaleskiego, zastępcę dowódcy naszego Zgrupowania Commando, w tej chwili dowódcę straży przedniej Pułku Ulanów Karpaccich na tej osi działania. Krótko zorientował nas w sytuacji, następnie w trzech zdaniach określił moje zadanie: zdobyć cmentarz Tavernelle i otworzyć drogę ulanom. Nieprzyjaciel: podobno na cmentarzu są

rozpoznane 2—3 działa ppanc, z obsadą piechoty. Wykonanie całej kompanią przejsz rowem i zarosłami na tyły cmentarza i zlikwidować Niemców.

Tu zaczęła się swolista „zabawa”, którą pozwolę sobie nieco szerzej opisać. Otóż po krótkim zorientowaniu dowódców plutonów, o co chodził, nakazałem 1 plutonowi ppor. Zontka, 3 plutonowi wachm. Gruszczyńskiego oraz 2 plutonowi pchor. K. (w tym właśnie porządku) ubezpieczonym marszem osiągnąć wzgórze w rejonie widocznego stogu zboża, czy też siano, i stamtąd uderzyć całą kompanią na bok i tyły cmentarza Tavernelle. Zontek poszedł pierwszy, za nim ruszyłem ja ze swym poczem, za mną był Gruszczyński.

Z początku wydawało się, że wszystko idzie jak z płatka. W ogóle „szafa gra”, Cisza, nie się nie dzieje niedobrego, tylko tu i ówdzie drapają nas krzaki i zarosła. Byliśmy w tych krzakach i w tym rowie zupełnie niewidocznymi. I gdy tak właśnie wszystko „grało”, ktoś z 3 plutonu dobiegł mnie, zawiadamiając, że... 2 pluton za nami nie idzie!

Natychmiast wraz z poczem zawróciłem w stronę domku, z którego miał wyruszyć 2 pluton, a Zontek i Gruszczyński poszli naprzód, kierując się — jak było ustalone — na stogi, widoczne dobrze na zboczach wzgórz za cmentarzem. Tylko że lamy się miałem na myśli ja, a inny obrał sobie za cel ppor. Zontek. To „nieporozumienie stażowe” miało mieć swoje ważne konsekwencje.

Dotarłem do 2 plutonu, zastałem taki oto „obrazek”: kapral podchorąży Tadeusz K. z wyjątkiem śpi(!!!), a jego żołnierze także spokojnie czekają... Aresztowałem ich dowódcę za technostwo, a następnie oddałem go kapitanowi Zaleskiemu. Lagodny i miękki serca nasz „Stary Komandos” usiłował łagodzić całą sprawę, a mnie udo-bruchać. Ale nie z tego: pozostawiłem mu technostwo, niech robi z nim, co chce, zabrakłem „osierocony” pluton i pognałem za kompanią. Ale tam, gdzie się jej spodziewałem, zastałem tylko kilku ludzi z mojego poczu. Reszta kompanii gdzieś przepadła. Ani po niej śladu!

Na czele 2 plutonu, wzmocnionego moim poczem, dotarłem zarosłami na tyły cmentarza. Wysadzałem ponad mur cmentarny głowę z lornetką i penetruję, jak mogę, miejsce spoczynku zmarłych. Nic nie widać, nie usłyszę. Cisza — jak to się mówi — grobowa. Chłopcy podzielił pod mur; razem przesadzamy go jednym susem tyralierką, z myślą o stoczeniu zaraz walki z przyjaznym gdzieś wrogiem. Broń gotowa do otwarcia w każdej chwili ognia w biegu spod pachy...

No i mile rozczarowaliśmy się. Nie było na cmentarzu ani jednej żywej niemieckiej duszy! Jedyny konkretny ślad Niemców na tym cmentarzu to długi rów-grob, częściowo zasypany, długa wspólna mogiła niemieckich żołnierzy poległych w walkach o Ankone. A swoją drogą ładnie bym wyglądał przy takim rozczłonkowaniu kompanii, gdyby tam rzeczywiście siedzieli Niemcy! Było nas około trzydziestu ludzi — zamiast stu! W każdym razie przewaliliśmy tyralierą do końca cmentarza, a potem — przez miejscowość Tavernelle — poszliśmy samotnie na Ankone.

Wiadomości na temat nieprzyjaciela na cmentarzu Tavernelle okazały się całkowicie fałszywe. Jak później „wiesć niesła”, ulani zdobyli te informacje od dywersanta, Włocha-faszysty, który szybko gdzieś przepadł w krzakach. Zadanie swoje, trzeba to przyznać, wykonał doskonale. Inna wersja, którą rozpowszechniali sami ulani, głosiła, że wiadomość o nieprzyjacielskich stanowiskach obronnych na cmentarzu Tavernelle mieli przekazać im dwaj niemieccy jeńcy.

Do druku przygotował:
Miroslaw Derecki

Kajet literacki

Pochwała „Polonisty”

O STUDENCKIEJ prasie Lublina pisał już swojego czasu Waldemar Michalski, ale wydaje mi się, że uwagi monografisty należy zilustrować materiałem pamiętnikarskim. Zresztą już i czas na to, bowiem lata sześćdziesiąte dla ludzi młodszych wyglądają jak okres starego kina: ktoś tam podryguje zabawnie w opadających szerokich portkach i wysiwa laszczką.

Nie będę tu głosił własnej pochwały, bowiem nie wchodził w skład zespołu redakcyjnego „Polonisty”. Nie pamiętam nawet, czy na początku wiedziałem, że ukazuje się takie pismo, przeznaczone właściwie dla bibliotek, gdyż publikowano je w kilkunastu egzemplarzach. Jeden z redaktorów powiedział mi, że bym coś im podrzucił, no a autor, wiadomo, tylko czeka na takie okazje.

Opublikowano moje wiersze, więc natychmiast uszczęśliwiłem ich farsą poetycką „Hydra pana Paska”. Treść była taka: Pasek stracił swoją ukochaną wydrę. Biedne zwierzę mu po prostu padło. Wtedy dziśny Jan Chryzostom, jak drugi Orfeusz, powędrował do piekieł,

gdzie Lucyfer wystuchał go uważnie. Rzecz w tym, że czart miał słuch przytępiony i pomyślał, że chodzi o piekielną hydrę siedmiogłową. No i wraca Pasek na ziemię z paskudną bestią u boku.

Mój dziśni redaktorzy nie zakwalifikowali farsy tej do druku. Być może, rzecz była słaba albo nie mieściła się w profilu pisma. Byłem wściekły, ale co miałem robić. Do „Twórczości” nawet nie posyłałem, bo w profilu „Twórczości” też się to nie mieściło. Odpisałby mi sprytnie, że sztuka jest bezradnie słaba. W każdym razie redaktorzy „Polonisty” poprosili mnie o inne dzieła i to mnie usatysfakcjonowało.

Znowu rozgadałem się o sobie, zamiast mówić o innych, a przecież to oni robili to pismo, nie ja. A był to periodyk niskonakładowy, bardzo niziutkonakładowy, można powiedzieć, ale nie było jakiego, grubego, stustronicowego, prezentujący prace studenckie wciąż gdzieś nagradzane i wynoszone pod niebiosa. W literaturoznawstwie pojawiły się wtedy nowe koncepcje badawcze i moi koledzy umieli chwycić wiatr w żagle, jak to z młodymi ambitnymi żeglarzami bywa. Ja też, a jakże, nie byłem gorszy i w „Przełazie wojska” Mickiewicza do patrzyłem się groteski, co z wielkim tupetem wyłożyłem w pracy rocznej, robiąc z naszego wieżacza starszego kolegę współczesnych rezonerów. Po tem jednak w pracy magisterskiej tak się już nie motałem i do tematu „Morsztynowski przekład Cyda” wystartowałem z ostrożnością dziewiętnastowiecznego grzebawy, choć też kusilo mnie, żeby Morsztyna trochę unowocześnić, zrobić z niego po prostu obywatela dwudziestego wieku.

No ale wracajmy do sedna sprawy. Całość grubego numeru „Polonisty” chroniły gustowne, lakierowane okładki, produkowane oddzielnie w uczelnianej pracowni fotograficznej. Zespół tworzyli: Wojciech Stefańczyk, Tadeusz Polanow-

ski, potem ceniony krytyk literacki, oraz Jerzy Kaczorowski, autor interesującej powieści „Zamek”. Wszyscy redaktorzy byli jednocześnie aktywistami Koła Polonistów, którego prezesem parę lat wcześniej był już wtedy pionierujący Maciej Podgórski, nie tyle prezes, ale po prostu tygrys polonistów. Za naszych czasów Podgórski jednak rezydował już wyżej, w „Kamenie”.

Chłopcy planowali zwiększyć nakład, a także zadbać o estetykę redakcyjnych pomieszczeń. Miał pokoić wkrótce zdobył opinię najbardziej eleganckiego pomieszczenia uczelnianego poszperał w graclarni, dobrał odpowiednie mebelki. W czasie dyskusji częstowano kawą, dzięki czemu polemiki nie odbywały się o suchym pysku.

Pointa tego felletonu jak wehikuł czasu przeniesie nas w okres o kilkanaście lat późniejszy. Było chyba lato 1983 roku. Wiozłem właśnie szczecińską ciuchę, słynną Panią Spóźnialską, rodzinę na urlop. Gawędziłem sobie z różnymi starymi kwę-kaczami, a tymczasem mój czterdziestoletni syn zawarł znajomość z młodzieńcem kilka lat starszym od siebie. Potem okazało się, że jest to aktualny wiceprezes Koła Polonistów.

Co tam u was ciekawego? — spytałem i dowiedziałem się, że właśnie przypada czy zbliża się okrągła rocznica założenia Koła. Z okazji jubileuszu chcieliby wznowić wydawanie „Polonisty”, który usnął gdzieś tam po drodze w latach siedemdziesiątych.

Nie wiem, czy tak się stało. W każdym razie ja jestem entuzjastą różnych regionalnych czy środowiskowych choćby tylko jednodniówek, gdzie dziennikarstwo tak często łączy się z natchnieniem i młodzieńczą pasją.

Janusz Olezak

Rozmowa z Danutą Torriente

— Wykładając digitopunkturę, podróżuje pani bez przerwy. Czy nie jest pani zmęczona?

— Do tego w ogóle nie mogę się przyznawać. Byłaby to dla mnie antyreklama. Mam zresztą ze sobą mój stymul, który pomaga w każdej sytuacji. Kiedyś przyjechałam na kurs do jakiegoś miasta. Sala była potwornie wyciebiała, a jeszcze na dodatek z tyłu za mną otwarte okno. Wieczorem w hotelu miałam prawie czterdzieści stopni temperatury. No i proszę. Ja tu przyjeżdżam mówić o zdrowiu, a wyglądam na to, że się rozłoży. Więc przy pomocy tego aparaciku „zrobiłam” sobie wszystkie punkty grypowe. Rano obudziłam się zdrowa. Lubię bardzo ten

ty, z których każdy ma jakąś inną właściwość. Wewnątrz ciała przebiegają również kanały, stanowiące jakby układ centralny. Nie należą one do żadnego narządu, jedynie rozpraszają energię po całym ciele. Stąd ją dopiero czerpie meridian. I to jest cała podstawa digitopunktury.

— Wydaje się to proste, więc dlaczego tak długo trzeba się uczyć?

— Bo to nie jest tak, że jeden punkt jest dobry na wszystko. Na przykład na przegubie znajduje się przedostatni punkt, w którym bada się serce, ale w przypadku leczenia należy „zastosować” inne punkty na meridianie przebiegającym od serca do piątego palca. Meri-

tu przywoła w nocy z atakiem, a pani mi nawet jednego zastrzyku nie zrobi!” Czasami przychodzi do mnie pacjentki. Często nawet kierowani ze szpitala. Widzę, że są bardzo sceptyczni. To przeszkadza. Ale ja niczego nie narzucam. Nie przekonuję, nie tłumaczę, jak to się dzieje. Mówię tylko, że co nam szkodzi spróbować. Jeśli za dwa dni chory czuje się lepiej, to już inaczej do tego podchodzi.

— Jedną z najstraszniejszych chorób jest rak. Czy digitopunktura się nim zajmuje?

— Ja osobście nie stosuję zabiegów w tym przypadku. Pobudzając energię, nie wiem bowiem, czy pobudzam energię samoobrony ciała, czy energię chorej tkanki.

— A schorzenia umysłowe?

— Japończycy twierdzą, że nie ma chorób psychicznych. Jest tylko duże zaburzenie przepływu energii i ta, która ma płynąć do dołu, płynie w górę i odwrotnie. W przypadku leczenia tych chorób usprawnia się jedynie przepływ energii w kanałach.

— Dla psychiatrów jest to ogromna szansa. A w naszych szpitalach ciągle stosuje się metody jak za króla Cwiczka?

— Jest jeden szpital psychiatryczny w Polsce, którego nazwy wolałabym nie podawać, gdzie prowadziłam trzystopniowy kurs dla personelu. Robiłam zabiegi na pacjentach pod okiem lekarzy i zmiany były tak pozytywne, że cały personel, przekonany, zaczął tę metodę stosować z fantastycznym skutkiem. Jeśli teraz dowiem się tylko czegoś nowego, natychmiast tam jadę i przekazuję.

— A jakie nowości dotarły ostatnio do pani ze świata?

— Jedną z akademii medycznych zaprosiła profesora z Francji. Znalazłam się na tym kursie. Mówił o tylu nowych rzeczach, których nie braliśmy pod uwagę. Twierdził, że jedną z przyczyn licznych chorób, mimo wzrastającego postępu medycyny, jest nieprawy widłowy odżywianie. Jemy rzeczy martwe, pozbawione energii. Produkty przechowywane w lodówkach stanowią tylko budulec. Przekonałam nas bardzo prosto. Powiedział: „Spróbujcie na wiosnę posadzić cebulę czy ziemniaki przechowywane w lodówce. Nigdy nie wykiełkują” w przeciwnieństwie do przechowywanych w piwnicy. Zamrożone mięso to ochlap, dla którego strawienie zużywamy energię zgromadzoną w organizmie i potrzebna nam w innym celu, np. do abstrakcyjnego myślenia”. Potem omawiał poszczególne produkty, jaką mają energię, do czego ona służy; no więc teraz automatycznie musimy włączyć do digitopunktury te wiadomości, bo jeden produkt może szkodzić, inny pomagać, w zależności od człowieka, narządu, rodzaju schorzenia.

Mówimy, że kawa jest szkodliwa. Ale kawa, którą wrzucimy na wrzącą wodę i gotujemy do dwóch minut, może być lekarstwem. Osobie, która po kawie tradycyjnie parzonej dostaje palpitaції, tak przyrządzony napój wzmożni serce. Najgorsza jest podobno kawa z ekspresu, bo powoduje największe zmiany w organizmie.

— Czy pani ma dużo pacjentów?

— Zgłasza się do mnie bardzo dużo ludzi. Ale jeżeli ja co drugi tydzień gdzieś wyjeżdżam, to nie mogę się podjąć dłuższego leczenia. Mogę jedynie podjąć się leczenia choroby, nad którą pacjent jest w stanie pracować sam, a ja tylko co dwa tygodnie będę sprawdzać, poprawiać lub robić jakiś mocniejszy zabieg. Ale nie jestem w tym kraju jedyna. Przy Towarzystwie Psychotronicznym w Warszawie działa sekcja digitopunktury, prowadzona przez Zofię i Jerzego Niedźwiedzkich. Ja sama mam wspaniałą grupę uczniów, działającą w różnych miastach w Stowarzyszeniach Różdźkarczy i Radleśtów. We wrześniu przyjadzie do Lublina jedna z moich uczennic i będzie prowadziła kurs podstawowy.

— Na zakończenie jeszcze jedno pytanie. Czy pani choruje?

— Na początku lat siedemdziesiątych miałam bardzo silne migreny, z których wyleczyłam się w ciągu dwóch miesięcy metodą rozkazów z taśmy, docierających we śnie do podświadomości. Od około dwudziestu lat nie używam żadnych leków. Przede wszystkim jednak nie zdarzają mi się poważne choroby. Oprócz wspomnianych początków grypy.

Ekran i widz

Vampirella polacca

NA pytanie, czy polskie kino stać na stworzenie trzeciorzędowego „horroru” filmowego, odpowiada jednym tchem: TAK! Ta niewzruszona pewność bierze się w mnie po obejrzeniu „wampirycznej” opowieści Grzegorza Warchola — „Lubię nietoperze”, z udziałem Katarzyny Walter oraz Marka Barbasiewicza w rolach głównych.

Wielu polskich reżyserów postanowiło, jak słyszę ostatnio, wyprowadzić nasz film ze ślepego zaułka — nie przynoszących żadnego namacalnego zysku — ambicji artystycznych, sięgając odważnie w stronę kina komercyjnego. Stąd owe wszystkie krwiożercze wilkołaki, pędzące z wywalonymi jezorami przez prastare polskie knieje, stąd tajni agenci, mordujący się nawzajem w hitlerowskim Gdańsku, tajemnicze media, pojawiające się w przedwojennym Sopocie, okrutni, skapani w cuchnących ocrotach mokrego szmalu, „łowcy bursztynów”, aż po łaknącą męskiej krwi — w miejsce erotycznej satysfakcji — polską „vampirellę”, która na strychu swego domu hoduje nietoperze, zaś w sercu — miłość do przystojnego lekarza-psychiatry.

Wraz z „Lubię nietoperze” wkraczamy w regiony światowego horroru o zacięciu parapsychologicznym. W świat takich filmów, jak na przykład oglądana stosunkowo niedawno na naszych ekranach amerykańska „Zagadka nieśmiertelności” Tony Scotta, w którym rolę odradzających się wciąż w nowych epokach wampirów grał: Catherine Deneuve i David Bowie. „Lubię nietoperze” jest to film, który mógłby stać się dziełem naprawdę świetnym w swoim gatunku, gdyby...

Przede wszystkim gdyby reżyser trzymał się zdecydowanie jednej linii. Albo konsekwentnego, pełnego humoru pastiszu filmu „wampirycznego”, albo półcia „pełną parą” na horror. Tymczasem nie wiadomo, czy perypetie wampiryzmu Izy, rozgrywane się w jakiejś bliżej nieokreślonej (jakby chyba włoskiej?) scenierii, to rodzaj makabrycznego „kabaretu”, zatraconego nawet trochę o atmosferę — krakowskiej „Piwnicy”, czy historia potraconego wampiryzmu, ucziłowiczka.

Niesamowite środowisko pacjentów, atmosfera tajemniczości w mrocznym labiryncie zamkowych komnat, korytarzy, klatek schodowych, erotyczny nastrój, zagęszczający się ze sceny na scenę, wreszcie fascynująca uroda i gra aktorska odwiecznych postaci Izy — doskonałej w tej roli Katarzyny Walter — i niewątpliwie aktywa filmu Grzegorza Warchola. Ale równocześnie jest to film nierówny, rwący się po doskonałych, pełnych napięcia scenach następują jakiejś pokłecia wewnętrznej rytmu „niesamowitej” opowieści. Dotacza się do tego jeszcze nie najlepsze, często wręcz „drewniane”, aktorstwo wielu wykonawców. I to można powiedzieć także, niestety, o grającym rolę narkomana, znanym autorze tekstów piosenek, Jonaszu Koście (zresztą doskonałym w sensie aparycyjnym).

Irytuje zbyt mała, niekiedy, dbałość o szczegóły, „puszczenie” niektórych scen kameralnych (jak np. tej w barze, gdzie „rezydują” prostytutki) lub fatalne postsynchrony przy kwestiach ciotki Izy (Małgorzata Lorentowicz). Widac też wyraźnie, że reżyser musiał włożyć się skrupulatnie z każdym groszem, jeśli np. o plenery, o tę całą zagraniczną scenografię, w jakiej toczy się akcja filmu; że nie mógł sobie pozwolić na rozmach i wystawność, jakie się aż proszą w pewnych scenach.

W niektórych momentach może się wydawać, że film „Lubię nietoperze” miał w sobie zawierać jakieś satysficyjne odniesienia do „Zagadki nieśmiertelności” (ta polska „vampirella” o twarzy przypominającej „wampirycę” Deneuve, ten doskonały zresztą u Warchola, finałowy pomysł z odradzaniem się kobiety-wampira w innej upełnieniu, najmniej oczekiwanym, postaci). Ale zabrakło na pewnym etapie reżyserowi oddechu, wielu wykonawcom — talentu, scenarzystom — konsekwencji, zaś kierownikowi produkcji — odpowiednich pieniędzy na tego rodzaju film. I dlatego „Lubię nietoperze”, zamiast stać się filmem pierwszorzędym, jest taki, jaki jest...

M. D.

LECZENIE DOTYKIEM

aparatu, bo jest wygodniejszy niż stosowanie ucisku.

— A czy on jest w ogóle do kupienia?

— To tak prosta rzecz, że można ją zrobić samemu. Ale produkuje ten aparat w Czechosłowacji firma Tesla i jest do kupienia w Cezalu. Nawet nie tak dużo kosztuje. Ponad 5 tysięcy.

— Kiedy mówi pani o digitopunkturze, wszystko wydaje się proste. W zasadzie każdy mógłby być lekarzem dla siebie, a szpital pozostałby jako ostateczność?

— Tymczasem jest odwrotnie. To lekarze zwracają się do mnie wtedy, kiedy nie mogą już pacjentowi pomóc.

— I pani zawsze pomaga?

— Nie jestem cudotwórczynią. Wszystko oparte jest na naukowych przesłankach. Choć muszę przyznać, że istnieją zjawiska, których do dziś nie mogę wytłumaczyć, mimo że tym problemem zajmuję się ponad dwadzieścia lat. Dlaczego pewne choroby, bardzo ciężkie, na które medycyna kładzie krzyż, leczą się bardzo szybko, natomiast leczenie przy pomocy digitopunktury chorób uważanych wprawdzie za nekające, ale nie bardzo groźne, trwa długo? Widocznie rządzą tym jakieś swoiste prawa.

— Czy ma pani ukończoną studia medyczne?

— Z wykształcenia jestem muzykiem.

— Jak to się stało, że leczy pani ciała, a nie dusze?

— O, to długa historia i wiąże się z moim skomplikowanym życiorysem. Za dużo musiałabym opowiadać. W każdym razie z powodu ciężkiej wady serca nie mogłam występować jako muzyk. Wyjechałam na Kubę. Tam, jako tłumacz, pracowałam dla grupy naukowców badających różne nadprzyrodzone zjawiska. Takie mi się wtedy przynajmniej wydawały. Ale okazało się, że wszystko da się naukowo wytłumaczyć. Zaczęłam uczestniczyć w sesjach. Spędziłam tam szesnaście lat. Potem wraz z mężem, Kubańczykiem, przyjechalismy do Polski. I do tej pory się uczę... Jest w Londynie Instytut dr. Worsleya. Proszę sobie wyobrazić, że on medycynę konwencjonalną studiował, tak jak wszyscy, sześć lat, a medycynę niekonwencjonalną w Chinach aż piętnaście.

— Czas więc o niej pomówić. Skąd pochodzi nazwa digitopunktury?

— Z łaciny. Digifus znaczy palec. Metoda oparta jest na akupunkturze, na przekazywaniu energii, z tym że zamiast igły stosuje się ucisk. Ale też są inne sposoby pobudzania, a mianowicie elektryczne i termiczne. Przez ciało człowieka przebiegają linie, czyli meridiany (odpowiadające poszczególnym narządom), na nich znajdują się punk-

dian żołądka przebiega przez nogę. Jeśli kogoś boli żołądek, a ja naciskam mu nogę, może pomyśleć, że zwariowałam. A jednak ból przechodzi. Nasuwa mi się tutaj pewne porównanie. Gdybyśmy do naszego mieszkania wprowadzili jakiegoś dzikusa, który nigdy nie widział lampy, i kazali mu ją zgasić, to co zrobi? Dmucnie. A tymczasem wystarczy nacisnąć wyłącznik i światło zgaśnie.

Skomplikowane schorzenie związane jest z wieloma czynnikami zewnętrznymi, jak chociażby sposób odżywiania. Nie jest też obojętny klimat i pora roku. Trzeba wtedy uciskać inne punkty. W zimie muszę robić zabieg na meridianach gorących, w lecie na zimnych. Należy też ćwiczyć siłę ucisku: 3, 5, 7 i 9 kg. I to się robi przy pomocy wagi.

— Od czego zależy stosowanie określonej siły?

— Są miejsca, gdzie absolutnie nie można stosować silnego ucisku: jama brzuszna, szyja, wewnętrzna strona przedramienia. Jeśli już potrzeba tutaj jakiegось silniejszego pobudzenia, to wtedy raczej rozgrzewa się ten punkt przy pomocy wygotowanego kamyczka. Ale kark, kręgosłup, tam można używać siły, nawet tej najwyższej. Na przykład mięsień czworoboczny twardnieje, kiedy przeżyjemy jakiegoś stresu. Przy silnym ucisku boli. Jeśli ten mięsień rozmasujemy, to stres znika.

— Przechodzimy do zagadnienia masażu.

— No właśnie. Muszę się przyznać, że w Warszawie u pana Władysława Renczewskiego uczyłam się tej sztuki. Kiedy podczas pokazowych wykładów przeszliśmy do masażu segmentarnego, serce mi skakało z radości. Zobaczyłam, że chociaż nie się przy tej okazji nie mówi o meridianach, to przecież podczas wykładu stwierdziłam: „O, teraz on jedzie przez ten meridian, a teraz przez tam ten, na dodatek we właściwym kierunku”. Było to wspaniałe odkrycie.

— Twierdzi pani, że na jej wykłady przychodzi dużo lekarzy. Dlaczego nigdy w szpitalu nie spotkałam się więc z żadnym, który by stosował prostą metodę ucisku, żeby ulżyć cierpiącemu?

— Ależ zapewniam panią, że stosuję, tylko nie mówią o tym, by nie narazić się na kpiny kolegów. Po prostu traktują to jako badanie. Pacjenci poza tym odnoszą się do tych metod bardzo nieufnie. Opowiadała mi kiedyś jedna lekarka, która była na moim wykładzie o astmie, że trafił na jej dyżur nocny mężczyzna z silnym atakiem. Była bardzo zdumiewowana i zanim poczyniono odpowiednie przygotowania, zastosowała metodę ucisku w dwóch punktach na łopatek. Po minucie lub dwóch atak przeszedł. Szczęśliwa powiedziała: „No to już wszystko w porządku” — i zaczęła spisywać dane. A pacjent z pretensją: „Jak to, mnie

Rozmawiała:
Irena Filus

Rzecz o ssaniu...

ZZACHĘTY Muzeum Kazimierza Dolnego i na koszt tego energicznego sponsora przygotowałem, w 10-lecie śmierci artysty, retrospektywną wystawę twórczości Władysława Filipiaka, obejmującą malarstwo olejne i akwarele z lat 1930-1975. Jako komisarz wystawy, autor wstępu i innych tekstów w katalogu oraz scenariusza ekspozycji w Galerii Letniej, a zatem jako człowiek odpowiedzialny za merytoryczny profil pokazu dzieł wybitnego twórcy, uznałem za niestosowne „własnoręczne” recenzowanie tego, co zrobiełem wspólnie z Muzeum. Za bardziej pożyteczne dla czytającej publiczności przyjąłem z góry ewentualne opinie tzw. bezstronnych obserwatorów, którzy mogliby odpowiedzieć np. na pytanie, czy wystawa trafnie zarysowała wizerunek twórcy Filipiaka. Nie od rzeczy przy tym będzie, jeśli wspomnę, że na początku bieżącego roku opublikowałem w „Kamieniu” rzecz o tym artyście, z którym zresztą pozostawałem w bliskich kontaktach.

No i doczekałem się głosu „bezstronnego obserwatora”, czyli Mariana Adama Stawieckiego który w „Sztandarze Ludu” z 15 sierpnia br. zechciał być wystawcą tekstu pt. „Filipiak”. Niestety, obiektywizm autora, omawiającego kazimierską wystawę malarza, okazał się jakby nadmierny i tak specyficzny, że pod publikacją mógłby się podpisać

np. kserograf skrzyżowany z nożyczkami i amnezją. W pracy tej tylko jedno zdanie (ostatnie) można z całą pewnością uznać za intelektualny plód p. Stawieckiego, reszta jest streszczeniem mojego wstępu do katalogu wystawy Filipiaka, wstępu opartego zresztą na nieznanym dotąd materiałach źródłowych i relacjach kilku osób z których dwie już nie żyją. P. Stawiecki ani słowem nie zająknął się, komu zawdzięcza informacje i sądy, które podpisał własnym nazwiskiem.

Chyba jednak krzywdzę naszego bohatera, zarzucając mu brak ochoty do samodzielnej roboty. Otóż, oprócz wspomnianego zdania ostatniego, p. Stawiecki jeszcze dwukrotnie zamianifestował własne opinie i spostrzeżenia: mylnie lokując Filipiaka w krakowskiej ASP oraz podając, że na wystawie w Kazimierzu widać „Portret Nowolki”. Tytuł tego obrazu został co prawda odnotowany w katalogu, ale błędnie przez moment nie wisiło w Galerii Letniej, a bowiem Muzeum Okręgowe w Lublinie nie zgodziło się — i słusznie — na wypożyczenie sfatygowanego konterfektu, o czym dowiedziałem się już po wydrukowaniu katalogu.

Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, czyli oglądajcie wystawę mając ssać paluszki i cudze teksty!

Ireneusz J. Kamiński

DZIESIĄTY STOPIEŃ WTajemniczenia

Dokończenie ze str. 3

zwykle cennymi wskazówkami dla wszystkich tych, dla których latanie stało się pasją i zawodem.

Ppłk płt. Bolesław Zoń:

— Ryzyko jest częścią mego zawodu. Musi być to jednak ryzyko wkalibrowane, rozważne, wyliczone. Każdy statek powietrzny zdolny jest do planowania „psikusów”. O tym zawsze trzeba pamiętać. Staram się opierać na zdobytych już doświadczeniach. To nie słychanie ważne. W lotnictwie znane jest powiedzenie: każdy przepis, każda instrukcja i nakaz pisane są krwią lotników. Dlatego też uważam, że bezmyślne ryzykowność to bezsensowna, śmiać i nikomu niepotrzebna brawura... Istnieje subtelna granica pomiędzy świadomym ryzykiem i popisowym ryzykownictwem. Lotnicy te sprawy „czują”, trudniej jednak przekazać je innym. To, co dla niejednego z nas jest zwykłym ryzykiem zawodu, dla innego może być czystym ryzykownictwem. Granica niemal zawsze jest tutaj płynna. Zdarzają się przypadki, że młodzi przeceniają własne umiejętności lotnicze, zbyt szybko próbują skonfrontować swe siły z naturą. To może być groźne. Latanie rządzi się własnymi prawami. Jedną z zasad brzmi: „Aby latać dobrze i bezpiecznie, należy latać dużo”. Umiejętności w tym zawodzie niemal zawsze są wprost proporcjonalne do doświadczenia.

O szczególnych przypadkach w locie, takich jak chociażby ten z rozwarła łuska, ppłk Zoń mówi otwarcie:

— Samolot po remoncie głównym kadłubem jest niemal od podstaw. Zanim trafi do zwykłego użytkownika, trzeba wykluczyć wszystkie potencjalne źródła przyczyny awarii i defektów. W kontakcie naszej specjalistycznej służby, nie są to właściwie przesłanki, a

eliminacja pewnych niesprawności, które w złożonym mechanizmie zawsze mogą się przytrafić.

Niestychanie rzadkie są dziś przypadki równoczesnego szkolenia lotników na kilku typach statków powietrznych. W dobie dynamicznego rozwoju techniki lotniczej wąska specjalizacja zawodowa stała się regułą i prawidłowością. Wyjątki — jak zwykle — regułę tę potwierdzają.

Ppłk Bolesław Zoń poszczycić się może uprawnieniami oblatywacza i pilota doświadczalnego: samolotowego i szybowcowego. Lata na blisko 30 typach (seriach i modyfikacjach) statków powietrznych. Przed rokiem zdobył kolejne uprawnienia — tym razem do pilotowania i oblatywania śmigłowców. Podobno tylko dwóch w kraju lotników legitymuje się podobnym nalotem, doświadczeniem i... predyspozycjami lotniczymi.

On jednak szuka nadal. Niedawno, w pobliżu macierzystego lotniska, „wytropił” dwóch motolotniarzy. Kontakty i współpraca pomiędzy amatorami i profesjonalistami zostały nawiązane szybko. Ustalono warunki wzajemnej lotniczej pomocy. Już wkrótce piloci z doświadczalnej grupy ppłk. Zonia w ramach relaksu i wyczuwalnego „dotykania przestworzy” będą mogli przesiąść się z „szybkiego” na... motolotnię.

Gdzie leży kres, granica ich możliwości i pasji latania? Na to pytanie nie otrzymuję jednoznacznej odpowiedzi. Mówię, że w rozsądku. A co myślisz, jakie są ich marzenia?

Jedno jest pewne. Ich loty, choć tak różnorodne i niemal zawsze związane z ryzykiem, są... z reguły bezpieczne. Latania ciągle czują niedosyt. Działają podobnie jak narkotyki.

Tomasz Vieweger

ŚWIĘTA WOJNA Z „TWORAMI SZATANA”

MAGNETOWID jest przekiętym tworem Szatana. Steje bezczelnie i rozpuste, utrudnia wienom wielbienie „Altacha”. To zdanie powtarzane było tak często w nawoływaniach muzafadziów duchownych, że pobudziło do działania pewne grupy wyznawców Islamu. W końcu czerwca, w blednej dzielnicy Kasru, Szabra, cztery świątynie — wypożyczalnie kasot wideo zostały spalone. Tej samej nocy podłożono ogień również pod wieża magazyn w eleganckiej dzielnicy stolicy, Zamaiek, w którym sprzedawano alibanie i wędliny, także „twory Szatana”. W następujących dniach podpalono jeszcze jedną

wypożyczalnię kasot. We wszystkich przypadkach dokonano zamachów w ten sam sposób: rozłożono i zapalono bezczynną pod drzwiami sklepów.

Podjęzżenia zwróciły się natychmiast w stronę kół islamistycznych integristów. Na podstawie ustawy o stanie wyjątkowym zatrzymano ok. 30 osób, z których kilka — jak stwierdzono — należy do organizacji ekstremistów o nazwie Święta Wojna. Wśród zatrzymanych byli ci sami, których aresztowano już w 1981 r. w związku ze śmiałym zamachem na ówczesnego prezydenta Sadata.

Sprawa jest tak poważna, że zabrali głos przywódca Mubarak, który oskarżył opozycję o rozbudzanie wśród młodzieży tendencji ekstremistycznych.

„Olza” tańczy trzydzieści lat

ZAKOŃCZYLI się Lubelskie Spotkania Folklorystyczne, zakończył się Światowy Festiwal Zespołów Polonijnych w Rzeszowie. Spośród barwnego korowodu zespołów wyróżniało się wiele. Ale „Olza”, oprócz ciekawego programu, na który złożyły się tańce wielkopolskie, słowackie, cieszyńskie, ma jeszcze coś. Swój jubileusz. Dokładnie 24 marca 1956 r., a więc 30 lat temu, odbyła się premiera pierwszego widowiska. Trzeba było ponad dwóch lat ciężkiej pracy, by zaprezentować się publiczności. A później nastąpiło poszerzanie repertuaru, w tej chwili bogatego i różnorodnego, od form scenicznych do widowisk plenerowych związanych z porami roku. Zdążyła się także, iż w okresie karnawału zespół jeździ od miejscowości do miejscowości, pokazując tańce towarzyskie, z Czeskiego Cieszyńska do Polski niedaleka. Toż najbardziej imponująca jest liczba nagród uzyskanych w naszym kraju, w Bydgoszczy, w Warszawie, a przede wszystkim w Rzeszowie.

„Olza” to młodość. Uczestnikami zespołu są uczniowie i studenci. Stanowią jedną wielką rodzinę. Pobierają się między sobą, razem pracują, często połączając inne. Kierownikiem artystycznym jest Otto Jaworek, tańczący w zespole od 1962 roku, kierownikiem organizacyjnym — Danuła Janik, również tańcerka, a jednocześnie farmaceutka, pracująca w cieszyńskiej aptece. Od ponad trzydziestu lat cenną radą i pomocą służy Janina Ferdecka, długoletnia kierowniczka, obecnie już na emeryturze. Lista osób, bez których zespół nie mógłby istnieć, jest bardzo długa.

Na jesieni „Olza” przedstawi nowy jubileuszowy program, jak zawsze bardzo atrakcyjny. Życzymy jej 100 lat!

(If)



Fot. Robert Lipski

Łaźnia czy teatr?

PO premierze „Betsaby” Emila Zegadłowicza w teatrze lubelskim w roku 1927, na łamach prasy toczyła się dosyć burzliwa dyskusja. W którymś z numerów tygodnika humorystyczno-satyrycznego „Obwieś” zamieszczono głos dotyczący sprawy wspomnianego przedstawienia, ale nie tylko. Wybieram z tego tekstu niewielki, interesujący fragment: „Jestem zwykłym poczciwym widzom. Chodzę, jak większość lubliniaków, raz na miesiąc do teatru i raz na dwa do łaźni. [...] Ale praso kochana! Krytykretyn najdroższe! Ja chcę rozumieć recenzje!”

Ha! Cóż, z krytyką teatralną w Lublinie już przed półwieczem nie było dobrze. Ale być może wówczas krytyka teatralna nie była konieczna. Wszak przeciętny obywatel Lublina częściej odświeżał ducha w miejskim teatrze niżli ciało w miejskiej łaźni. Dzisiejsi tzw. „przeclętni”, albo lepiej może będzie powiedzieć: „statystyczni”, bywają w teatrze raz na cztery lata, a przyjemność oczyszczania ciała raczej przesadnie nie nadużywają.

(w.)

Jak się pierze perły?

STARE, poczciwe kalendarze z XIX wieku, taką oto podają receptę na pranie tych kosztowności: „Kto posiada prawdziwe perły i chce je utrzymać w nadzwyczajnej czystości, pierze one w ten sposób: kładzie perły w spory płatek doskonałego i czystego płótna, pociągnie perły solą i płatek zwiąże. Następnie trzyma tak związany płatek dopóty w letniej wodzie, dopóki sól zupełnie się wycieknie, w końcu suszy przy umiarkowanej temperaturze ciepła. Okaza się wówczas perły jak najczystsze”.

Czy równie tajemnicze jak w pewnej naleczowskiej awedocie? Znać ją państwo? No to posłuchajcie. Zachował się o jeden z portretów dawnej właścicielki willi „Pod Matką Boską”. Damy pięknej i wytwornej. Karnacie jej ciała podkreślają — jak to dawniej mówiono — pyszne porły. I one to właśnie o północnej porze, kiedy właściciele willi pogrążeni są we śnie, rozsypują się z portretu. Tak, tak, słyhać, jak jedna po drugiej ześlizgują się z naszyjnika, spadają i toczą się po zakamarkach domu. Leok sen tewa. A jeśli kiedyś, o! przypadkiem, siedząc u „Eweliny” przy kawce, znajdziemy w tej naleczowskiej kawalerence — perelkę? Dama z portretu puści do nas wcale nie anegdotyczne perskie oko.

Perły uważane są za smutne — żeby nie powiedzieć: nieszczęśliwe — klejnoty. Wszelako ozdabiają one jubileusze 30-lecia, perłowe gody. Na tę okoliczność warto je przeprać według przepisu z 1878 roku, do feralnych i anegdotycznych znaczeń podchodząc jednak z rezerwą właściwą naszym czasom.

(dey)

Gehenna awangardy

Jerzy Busza

NAJPIERW kilka słów wyjaśnienia. Otóż w „Polityce” nr 10 z 8 marca br. opublikowałem felieton pt. „Gdzie jest awangarda?”, w którym dałem wyraz przekonaniu, że polska awangarda artystyczna znalazła się w sytuacji absurdu, wyczerpania się wszystkich dotychczasowych dróg rozwoju. Teza ta ani specjalnie oryginalna, ani nowa, skoro coraz większa liczba filozofów sztuki serio rozważa dylemat: czy w ogóle ludziom potrzebna jest w tej sytuacji sztuka i jak świat wyglądałby bez sztuki, bez tej niezwykłej przecież dziedziny ludzkich umiejętności?

Nigdy w życiu nie przypuszczałem, że tekst wielkości ziarenka spowoduje w moim środowisku reakcję właściwie niebывалą. Ludzie, skądinąd godni szacunku, stukali się palcem w czoło i pytali — po co ja to w ogóle akurat tak napisałem? Felieton, jak wiadomo, posługuje się specyficznymi niezobowiązującą retoryką. Wszak przejęskrawienia, skrótowe myślowe, rezygnacja ze specjalistycznych idiolektów etc. stanowią tutaj żelazny repertuar krytycznych chwytów. Kluczowy dylemat mimo wszystko najambitniejszej dzisiaj kultury artystycznej, przynajmniej z konieczności został w moim felietonie pokazany w pigułkowym skrócie. Nie sądzę jednak, by publiczność czytająca tygodniki kulturalne raptem zlakniona była bardziej specjalistycznie zaawansowanych objaśnień. Amatorów takich tekstów odsyłam do „Miesięcznika Literackiego” nr 3/86, gdzie kwestie te wykladam, było nie było, bardziej fachowo, lecz sens mojego wywodu pozostaje oczywiście ten sam. Los popularnych tekstów o „trudnej” i „niepotrzebnej” sztuce, jak widać, ciągle u nas jeździ na pszym koniu.

Nie wspominałbym o tym wszystkim, gdyby nie to, że na łamach „Kamery” z 4 maja br. ukazał się tekst sygnalny literami IJK pt. „W mogile ciemnej”, będący chyba jednak przesadną reakcją na mój felieton z „Polityki”. Rzecz cała nadawała się do polemiki. Łatwo zgadnąć co byłoby dalej. Ja napisałbym ripostę, IJK odpowiedziałby, potem ja protestowałbym, a IJK nie mógłby milczeć. Tymczasem problem sam w sobie pozostaje, więc rozwiązaniem gehenny awangardzistów wydaje się ważniejsze niż to, kto ma rację. Do obraźliwych, jak widać, nie należę. Dlatego postanowiłem odszukać i bez zbędnych emocji ukazać nie nastrojający do optymizmu stan rzeczy.

Wyślę, że aby zrozumieć to wszystko, co stało się w sferze idei sztuki, trzeba uzmysłowić sobie schedę tradycji dwudziestowiecznej awangardy. Nie tyle nawet konkretne dorobki artystyczne, co pewnego rodzaju styl pracy awangardowych artystów, który z konieczności stanowi tutaj tło dla sytuacji aktualnej.

Awangardziści zawsze byli w szczególny sposób włączani w klimat i aurę własnych czasów, których starali się być rzecznikami. Alianse zawierali z ruchami i ideami społecznymi, które w różnorodnych i zmiennych przecież konfiguracjach historycznych utożsamiano z postępem. Z pewnym uproszczeniem można orzec, że w naturalny sposób igneli do lewicy. Ta swoista niezgoda na aktualną rzeczywistość i wiara w reformowalność istniejącego świata często przybierały postać nawiązanych i prostodusznych utopii, nie mających żadnego związku z praw-

dziw, konkretną rzeczywistością, którą przecież nieodmiennie zawiadują w swych gabinetach zawodowi politycy. W naszym stuleciu trafiali się artyści związani nawet z ruchami anarchistycznymi, lecz nigdy z ich strony świat nie doczekał się najmniejszej choćby rewolucji. Sztuka, zepchnięta na margines życia, zwykłe wlokła się w cieniu wielkich i małych wydarzeń, lecz także w cieniu rewelacji płynących ze strony nauki, która zachowała monopol na dyktowanie rzeczywistości doniosłych rewolucji intelektualnych. Czy to powszechny lęk przed niewiadomą nowością, czy umysłowa gnuśność, wszystko jedno. Faktem pozostaje, że gorzko doświadczana w naszym stuleciu Europa stała się chronicznie nieufna wobec zbyt radykalnych przemian, także artystycznych, które za naszej już pamięci łagodnie miał snobizm. Dość, że skostniały konserwatywizm społecznych mentalności i poglądów zwykle kolidował z ambitnym wysiłkiem ludzi zabiegających o sztukę „jutra”. Jeśli jeszcze przypomnimy, że swój gust zwykle narzucały tanie i rozrywkowe aspiracje kulturalne mieszczaństwa, to w tym świetle tradycja, społeczna izolacja awangardy nie powinna budzić wątpliwości. I tak jest do dzisiejszego dnia, enklawy awangardzistów pracują w szczelnie zamkniętych środowiskach, produkujących swoją sztukę, którą ze zrozumieniem konsumuje garstka entuzjastycznych wizjonerów.

Intencją awangardy było i jest nadal pozostawanie w zgodzie z duchem własnej, kulturowo-cywilizacyjnej sytuacji, jeżeli nie wręcz „przeciwwanie” nadchodzących i krystalizujących się nowych idei. W centrum artystycznych zainteresowań musiał pozostawać fetysz „nowości”, oryginalności tematyce bądź stylistycznej. Już samo pojęcie twórczości wykluczało odtwórczość, choćby najbardziej ambitną. Artysta zabiegał o to, by szokować niepowtarzalnością wykonanego dzieła. Ponieważ w drodze na Parnas konkurencja zawsze była duża, to w kilku ostatnich dziesięcioleciach mieliśmy do czynienia wręcz z inwazją artystycznego nowatorstwa, które z samego założenia miało zostać przezwyjęzione przez kolejną, artystyczną rewelację. W wyniku tych, rzeczywiście wielokierunkowych, zabiegów, granice sztuki poszerzyły się, właściwie sięgając absurdu. Nowożytny społeczeństwo sztuce przeznaczyło dość abstrakcyjne, lecz intuicyjnie wytyczalne miejsce. Awangardziści bezceremonialnie wkroczyli z własnymi pomysłami na obszary, które tradycyjnie pozostawały w dyspozycji nauki, religii, filozofii, potocznej sztuki etc. Krótko mówiąc, praktyką artystyczną stało po prostu „wszystko”.

Już w połowie lat 1960-tych, a z pewnością na początku lat 1970-tych, sytuacja stała się paradoksalna. Każda nowa propozycja twórcza nosiła piętno efemeryczności, a ponieważ sztuka awangardy umiędzynarodowiła się, trudno było wyobrazić sobie jakiegoś arcspecjalistę, który by potrafił ze świadomością krytyczną śledzić cały euro-amerykański „art world”. Także trudno byłoby dziwić się, że na świecie, którym rządził porządnie skomercjalizowany rynek sztuki, prym wiodą artyści pochodzący z krajów, które charakteryzuje bogata w innowacyjne doświadczenia i dynamiczna kultura,

posiadający naturalne zaplecze w najbardziej rozwiniętych i zaawansowanych stosunkach cywilizacyjnych. Z tego to właśnie powodu światowej awangardzie ton nadawali głównie artyści amerykańscy, a stan swego rodzaju „imperializmu artystyczno-kulturalnego” z ich strony przyjęło się traktować jako normę i podobnie, jak ongi niekwestionowaną stolicą sztuki był Paryż, tak teraz stolicą bez wątpienia jest Nowy Jork.

Taka geografia artystyczna była zgodna z trudnym do dalszego utrzymania, ogólnym przeświadczeniem, że awangarda tworzy sztukę naszej wspólnej „wioski globalnej”. Wiemy nadto dobrze, jak głębokie i rażące dysproporcje występują na naszej planecie co kilkadziesiąt kilometrów, by móc uwierzyć, że shomogenizowana sztuka nie jest na tym świecie merytorycznym nieporozumieniem.

Bardzo istotnym elementem najnowszej mitologii awangardy są wzory osobowe artystów, którzy nie tyle ze sobą konkurują o sławę, co raczej zabiegają o własną odrębność, niezależność społeczną i umysłową, wolność tworzenia, nie determinowaną żadnymi pozaartystycznymi względami. Awangardziści dawno zrezygnowali z pretensji do odgrywania ról wielkich geniuszy à la Picasso i samorodnych, zapoznanych talentów. W tych środowiskach nade wszystko ceni się systematyczność, mozołną pracę, niezłomną konsekwencję i rzetelną wiedzę. Kult ekstatycznych wzlotów mocarzy ducha odesłany został definitywnie do lamusa przebrzmiałej historii. Stąd niewątpliwie bierze się poczucie wielkiej anonimowości środowisk artystycznych, którym liderują jednostki mające szczęście dostać się w tryby bezdusznej maszyny nowoczesnej reklamy sztuki, nakreślonej przez rynek funkcjonujący w najbogatszych krajach świata.

Spoleczny status artysty jest bardzo wątpliwy, co wzmaga wręcz odrazą artystów do działań utylitarnych, gdyż sens tych ostatnich sprowadza się do działalności bądź merkantylnej, bądź propagandowej. Rzadko się o tym mówi, że ambitni artyści żyją i tworzą w poczuciu własnej, nieprzewidywalnej zubożności, na manowcach normalnej codzienności, i nie nie wróży, by ten stan rzeczy miał ulec zmianie.

Mimo wszelkich podobieństw, mimo poniekąd naturalnej środowiskowej solidarności świata awangarda artystyczna w żadnej mierze nie jest zjawiskiem merytorycznie jednorodnym. Rzecz w tym, że aktualna współczesność jest tak wielostronnie bogata, iż niepodobniestwem wydaje się zrealizowanie dzisiaj dzieła, które mogłoby wyartykułować wszystkie jej fascynujące aspekty. Stąd artyści orientują swoje selektywne zainteresowania w wielu, często krańcowo wykluczających się kierunkach, stąd też mówiąc o awangardzie, należy mieć na myśli właściwie wiele różnorodnych, wręcz nieporównywalnych awangard.

Nie miejsce tu na dokładną analizę działań polskich artystów. Lecz faktem niewątpliwym pozostaje, że potężnego pretekstu do przemyśleń ogromnego kompleksu strukturalno-funkcjonalnych dylematów tej sztuki dostarczyły awangardzie wydarzenia początku lat 1980-tych. Stało się jasne, że sztuka deklarująca się jako laboratorium „życia” i diagnozująca społeczne ideologie po prostu rozmija się z życiem

społecznym, nie nadąża za jego rozwojem i meandrami dróg ewolucji, a co najważniejsze, nie jest w stanie ani go opisać, ani mu poddać. Jest nudna, właściwie zbyteczna lub co gorzej, nie nas — by tak rzec — obsługuje.

Najbardziej świadomi artyści w lot pojęli, że dalsza pogoń za fetyszem oryginalności jest drogą donikąd, bo zwyczajna codzienność mnoży zdumiewające niespodzianki, dalece bardziej nieszablonowe i dotkliwie odczuwane niż to, czym potrafi oczarować nas artysta. Najkrócej mówiąc, w ślad za takimi konstatacjami przyszła niemożliwość do zatuszowania inflacja pojawiających się produktów artystycznych, skądinąd już znanych, co sprowadza się do permanentnego powtarzania osiągnięć przyswojonych sztuce. By nie ciągnąć tego wątku w nieskończoność, powiedzmy, że doszliśmy wręcz do sytuacji, iż nie sposób dalej realizować fotografii czy malować obrazów, uprawiać performance czy którejkolwiek z nowych stylizacji bez uświadomienia sobie do końca i bez pobłażania całego kompleksu kulturowo-cywilizacyjnego syndromu.

Lecz w tym momencie zaiste kończą się żonglerka słowami, a zaczynają się problemy dla dorosłych. Zaczyna się prawdziwie gordyjski węzeł tej sztuki, uwikłanej w ideologiczne dylematy naszej, niełatwej przecież codzienności, z którymi borykają się politycy społeczni, cała humanistyka, sztuka również.

W całej swojej ostrości pojawia się więc niewolne od swoistego dramatyzmu pytanie: jak być teraz tutaj artystą?

Jak, by nie gładzić moralizatorskich kazań, by nie być po staroświecku „ku pokrzepieniu”, by nie bawić i nie rozweselać, tudzież nie rozdzierać szat? W jaki sposób można działania artystów włączyć w wielki proces działań prospołecznych? Takich, które nie odwracają naszej uwagi od realiów rzeczywistości, ale pomagają nam żyć, podpowiadają słuszne wybory, stają się swego rodzaju metaforycznym kompasem jednostkowych i zbiorowych egzystencji. Nie na Księżycu, ale w Polsce, w połowie lat 1980-tych.

Wszyscy posiadamy poczucie, że dzieła i działania, z którymi mamy teraz kontakt, są jakby symbolami ledwie sztuki, na którą rzeczywistość zasługujemy, sztuki, która by nasyciła nasze życie poczuciem wartości i sensu, zjawisk nieodczuwanych do tego, by potoczne życie mieniło się po prostu lepszą jakością, do której jako społeczeństwo aspirujemy.

Porywające programy artystyczne nie spadają same z nieba ani nie rodują się na kamieniu. Wymagają długiej, zbiorowej i cierplivej pracy rewolucjonizowania naszych myśli. Jak ktoś zauważył, proces rewolucjonizowania myśli jest procesem nieprzerwanym, wyraża się raczej w innym niż dotąd ruchu i stylu myślenia, aniżeli w wyrażnie uchwytym przejściu od starej do nowej myśli. Proces rewolucjonizowania myśli jest procesem powolnym, tocącym się dopóty, dopóki nowe myśli nie powołają nowego sposobu życia. Jak każdy wysiłek dokonywany się w głowach, daje obywateli mało spektakularnym, daje obserwowane się poprzez współuczestnictwo, partycypację w nowym myśleniu, a nie przez odbiór gotowych myśli, jak wielu naiwnie sądzi.

Kto wie, być może ze strony sztuki, z definicji przecież wyrażającej jednostkową, indywidualną wizję świata, wyłoni się wiedza nowej praktyki, która udoskonali naszą codzienność? Te perspektywa fascynująca, choć przyznaję, że maksymalna. Lecz dla niej właśnie warto śledzić losy dzisiejszych awangard, zmierzchu jednych formacji, rozdarć innych, narodzin nowych, inaczej dojrzałych. Jest to mimo wszystko ważniejsze i ciekawsze od tego, czy rację ma krytyk IJK czy krytyk Busza, gdyż zdrowy i naturalny wydaje mi się taki stan kultury, który dopuszcza istnienie obok siebie wartości przeciwstawnych, wzajemnie się kontrolujących i przedstawiających odbiorcy do wyboru różne poglądy i wizje świata.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunta Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Marta Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentarz), Lidia Wójcik (redaktor techniczny) - Ewa Dybek (korektor) - Barbara Ceban. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych - zastrzega sobie prawo skrótów. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 19-20. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Ulicka 4. Wydawca: Robotnicze Spółdzielnie Wydawnicze RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 355-20. Adres redakcji: 20-025 Lublin ul. Skłodowskiej 3/1. Telefon: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 355-33, sekretarz redakcji 318-93 dział publicystyki i literacki 375-35. Korrespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-025 Lublin, skrytka pocztowa 321, polecone i ekspresowe - pod adresem redakcji.

Krzyżówka nr 17 z szyfrem

Poziomo: A rasa owiec, z których jagniąt robi się cenne futra ■ producent enleba ■ potoczna nazwa tarczy C, papier z Canossy ■ fryzjer — felczer. D, rybie jaja ■ czeskosłowacki samochód ■ kamień ozdobny E, nieporozumienie klótnia ■ pracownik urzędu kontroli prasy F, dramat niesceniczny Zeromskiego ■ najmniejszy nasz ptaszek ■ głupek G, urok ■ przeprawa przez rzekę, H, resztki rozbitego pojazdu ■ wełna na garnitur w paski ■ aureola I, wydawca książek o architekturze i malarstwie ■ danie mięsne. J, statek Noego ■ uzdrowisko dziecięce ■ ciężki wysiłek przy pracy, K, odwracalny stan pozornej śmierci u niektórych niższych roślin i zwierz ■ nieśliwkowa śliwka M, rączka uchwyt ■ tajne głosowanie przy pomocy dwubarwnych galek lub kartek ■ zespół pięcioosobowy.

Pionowo: 1, szybki posłaniec ■ kubek, 3 alfabet rosyjski, 4, klimat pogoda ■ Jagiellonka 8 tworzą pasiekę ■ zginął w 44 roku p.n.e ■ drzewo liściaste, 8, odnawia zniszczone dzieła sztuki 10, bablonojsko-syryjska bogini miłości i wojny ■ długą nudną mowa 12, część ■ przepływa przez Frankfurt ■ bez obuwia 14, górnik urabiający skalę w przodku ■ kaznodzieja Zygmunta Wazy, 16, pełnomocnik 18, kanton w Szwajcarii ■ miasto wojewódzkie ■ król zwierząt, 20, kiepska kawa ■

buduje piec, 21 rozkład, może być też moralny, 23, najniższa jednostka organizacyjna w harcerstwie ■ całkowite lub częściowe wstrzymanie zosunków jako forma walki z jednostką, grupą lub państwem. S Z Y F R

H4 D10, K12 / G13, C14, H17, H13, E14, J20, J14 / I7, C8 B10 A23 I16 / F12 A18, C21, I10, A5 C18 / H21 / M9 B14 H23 J21 D4 / H10, E15, H22, A6 / M20 F21, D16 / L6 19, G7 / L12, M19, E23 / H1, C6, E5, F11, C16 F22

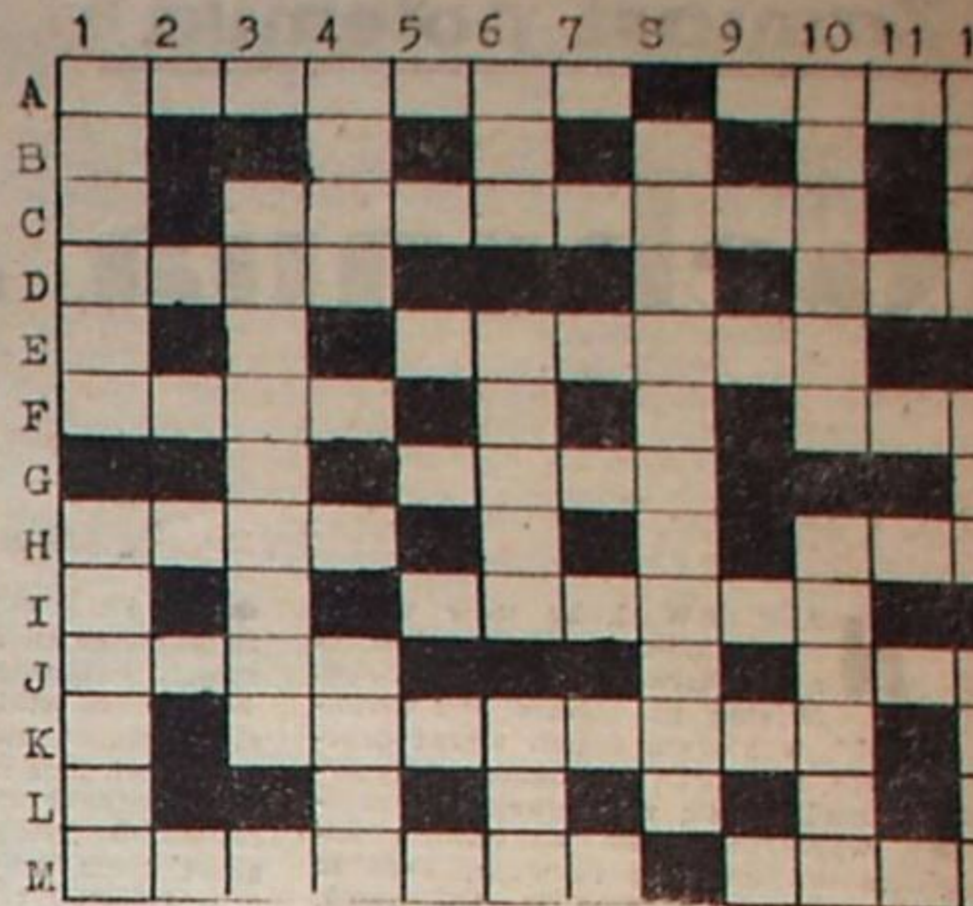
Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 15 Z SZYFREM

Poziomo: wydawnictwo śmieciuszka, test Niedźwiedzica żaki, parkiet dyfuzja Wroński, podstoli, złość Dąbrówka niechęć potrawa, schodek romb, automatyzacja, ogon klerykizm, tłumaczenie.

Pionowo: wytop nurek rydze antyk, ceber, niedolega ciek niż stal woźny Ormuz, Fałat, kipu, rota Zośka, Madej, węzeł, Eris, oda, Peim, akrobacja, sążeń, Opole, Szwed, alibi, konie.

Szyfr



lak, kiedy mu się uda pogodzić w sercu wołania szabl, chwaly, papieża i żony.

Tadeusz Boy-Zeleński cyt. przez Jana Dobraczyńskiego w zbiorze esejów „Czas letnich chrześcijan” o Odsieczce Wiedeńskiej

Za prawidłowe rozwiązanie nagrodę wylosowała Urszula Drzymala, ul. Kruczkowskiego 20 m. 3 20-468 Lublin.

Rozmówki z dinozaurami polskiego rocka

Helena Majdaniec - królowa twista

— Helenko, to czasie współpracy z zespołem Niebiesko-Czarni, gościłaś z koncertami w paryskiej Olimpii

— Były to koncerty, w których brał udział artysta należący do czołówki estradowej w swoich krajach, np. Stevie Wonder i inni.

— Obecnie mija 15 lat od twojego wyjazdu indywidualnego do Paryża. Jak doszło do tego, że właśnie wybrałaś Paryż?

grałam w filmie kręconym przez Amerykanów o Coco Chanel

— Jakże masz dalsze plany artystyczne?

— Najnowszą wiadomość otrzymałam na koncertach „Old Rock Meeting” w Sopocie. Pagarz zaproponował mi kontrakt w USA w No-

wym Jorku w polskim klubie „Scorpio”... Więcej nie powiem, aby nie zaproszyć.

— Jakże pielęgnujesz osobiste życie?

— Pragnęłabym nagrać płytę w Polsce, abym mogła zaprezentować na niej swoje aktualne możliwości wokalne.



Fot. Zygmunt Kroczyński

Burano czy Arlow?

— Jak się do ciebie zwracać: Burano czy Arlow?

— Jestem Michałem Burano, a John Mike Arlow to wymysł amerykańskiego „show businessu”; tam artysta musi zmienić nazwisko, aby je łatwiej publiczność wymawiała i zapamiętała.

— W Polsce byłeś sławny, dlaczego więc wyjechałeś?

— Wyjazd mój związany był wyłącznie z wykonaniem zawodu, a ponadto jestem z pochodzenia Cyganem, wywodzę się ze szczepu Lowari, podróżowanie tkwi w naszej naturze.

— W którym roku wyjechałeś do Paryża?

— W 1969. P. krótkim pobycie w Paryżu zaproponowano mi udział w festiwalu w Rene, gdzie zdobyłem Złotą Gronostaję i nagrałem cztery utwory na dużego singla. Płyta odniosła sukces, nagrania z tej płyty prezentowano w dwudziestu krajach.

— Czy dużo koncertowałeś podczas pobytu w Paryżu?

— Tak, występowałem na terenie całej Francji, a także w Belgii, we Włoszech. W koncertach brał udział wybitni wykonawcy: Johnny Hollyday, Sylvia Vartan, Eddy Mitchell. Podczas pobytu we Francji nagrałem muzykę do bardzo znanego filmu pt. „Sene”, który cieszył się dużą popularnością wśród młodych widzów.

— Z chwilą, gdy opuściłeś Francję, udając się do USA, który to był rok?

— W 1971 wyjechałem do USA, gdzie po krótkim odbyciu producent filmowy z wytwórni „Fox” wystąpił z propozycją, abym napisał muzykę do filmu, który był poświęcony mojej osobie, pt. „Song Michael Burano”.

— W „Newsweeku” napisano o tobie: „Polski Cygan — śpiewająca sensacja USA”

— Tak, zrobił się pewien rozgłos w świecie wokół mojej osoby, w związku z tym nastąpiły propozycje koncertów, występowałem w Las Vegas, Nowym Jorku, były nagrania płytowe. Niebawem wystąpiłem również w krajach arabskich, z wyjątkiem Chin i ZSRR, gdzie oragne wystąpić, gdyż urodziłem się właśnie w ZSRR. Wycho- wywałem zaś w Lublinie. Natomiast występ w Chinach pozwoliłby mi na poznanie tego kraju, ludzi oraz ich kultury, naukowców tam obecnych.

— Pamiętaj, że na Międzynarodowym Festiwalu



Fot. Zygmunt Kroczyński

Piosenki w Tokio zdobyłeś drugie miejsce

— To było szczególnie przyjemne, zwłaszcza że uplasowałem się przez takich gwiazdami jak Ricky Springfield czy Jule Iglesias. Myślałem, że artysta po to oracuje, aby go wyróżniano. Dzięki te sukcesy osiągnął ambicjonalnej i profesjonalnej może istel tworzyć.

— Czy naprawdę trudno jest zrobić karierę artystyczną w Europie na rynku amerykańskim?

— Bardzo trudno. Jest to inny rynek, rządzą inne prawa. Nie wystarczy być zdolnym lub poprawnie śpiewać. Na zrobienie kariery składa się mnóstwo innych spraw, jak nożnie mechanizm tego rynku, dobór odpowiedniego gatunku muzyki, superwykonanie, aranżacja utworów, styl wykonania, interpretacja. Trzeba być naprawdę dobrym w swoim rodzaju, chce się przebić.

— Jakże masz plany artystyczne na przyszłość w Polsce do USA?

— Będę pracował dalej nad wydaniem nowego albumu i nad filmem muzycznym. Pragnę koncertować w tych krajach, o których wspominałem wyżej, gdyż w latach artystycznych posiadam dobrą markę.

— Twój udział w koncertach „Old Rock Meeting” w Sopocie, spotkanie po dwudziestu latach z kolegami jest na pewno wzruszeniem.

— Wielkim wzruszeniem, ponieważ w Sopocie jako młody chłopak, dalem pierwszy koncert, który przyjęto bardzo serdecznie. Te chwile pozostały na zawsze. Będę w mojej pamięci i towarzyszą mi w dalszej drodze artystycznej.

— Czy powrócisz kiedyś do Polski?

— Polska jest moją ojczyzną, tu się wychowywałem i być może, kiedyś do niej wrócę.

— Co najbardziej cię przyciąga w życiu?

— Zrozumienie drugiego człowieka, lojalność. Pieniądze dają tylko standard życia, ale nie mogą wpływać na zmianę osobowości ludzkiej.

— Czego sobie życzył na przyszłość?

— Chciałbym kontynuować pracę artystyczną, tak jak dotychczas. Szczęśliwie wychowałem córki-bliźnięta, które mają po trzech i pół lat, obecnie chodzą do polskiej szkoły. No i zdrowia dla mojej żony i całej rodziny.

Rozmawiał: Andrzej Kańdula

— W nagrodę za wygranie festiwalu w Soczi, została wysłana przez Pagarz do Paryża, który, jak wszystkim wiadomo, jest artystycznym oknem na świat. Nagrałam tam pięć małych płyt po cztery utwory na każdej, brałam udział w festiwalu o imieniu francuskiej w Antybach na Lazurowym Wybrzeżu, gdzie występowały także osobistości jak Cliff Richard, Olivia Newton-John... Sofowalam również w wielu innych krajach, np. w Kuwejcie, Szwajcarii, Maroku. Występowałam w telewizji francuskiej, prezentując kulturę polską, jej tradycje, folklor. Spotkałam wiele zaszczytów, wystąpiłam w sudejki muzycznej wraz z Henrykiem Szerynkiem, skrzypkiem światowej sławy.

— Jak mi wiadomo, na co dzień śpiewasz w kabaretach Paruza.

— Najczęściej są to ekskluzywne lokale, wyłącznie dla dobranej towarzysztwa, miejsce są tam drogie butelki szampana kosztuje 200 dolarów. Cieszy mnie bardzo, że bywały znają mnie i lubią, często mówią: Idźmy do Heleny. (Zamiast do „Raspoutine” czy „Szeherazady”).

— Czy miałas jakikolwiek kontakt z filmem francuskim?

— Oczywiście. Była to świetna przygoda. Zadebiutowałam w filmie Claude Leloucha z Danielem Olszchakiem, ale nie w głównej roli. Ostatnio zaś